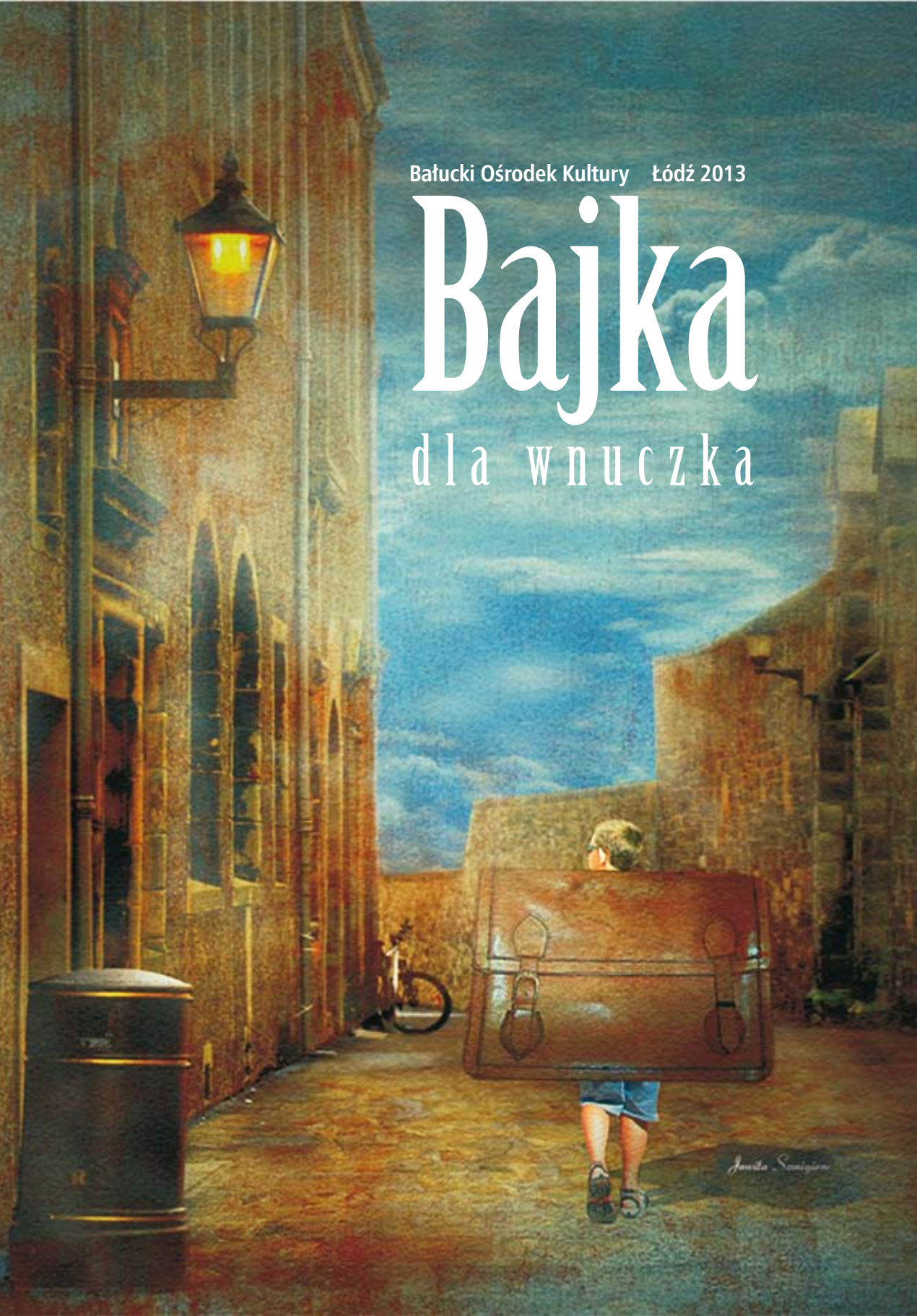


Bałucki Ośrodek Kultury Łódź 2013

Bajka

dla wnuczka



Annika Somigiers

Bajka dla wnuczka

Bałucki Ośrodek Kultury

Łódź 2013



© Bałucki Ośrodek Kultury
91-027 Łódź, ul. B. Limanowskiego 166
tel. 42 651 50 30
www.bok.lodz.pl

Konkurs Literacko-Plastyczny „Bajka dla wnuczka” Łódź 2012/2013

Wydawnictwo pokonkursowe

Realizacja



Bałucki Ośrodek Kultury „Lutnia”

Koordynator konkursu

Monika Zagajewska-Grajoszek

Jury konkursu:

Dorota Grzegorzczak, Ewa Majchrzak, Jadwiga Sącińska, Jowita Szmigiero

Opracowanie graficzne

Dział Informacji i Wydawnictw Bałuckiego Ośrodka Kultury w Łodzi

Korekta

Małgorzata Skwarek-Gałęska

Na okładce wykorzystano pracę Jowity Szmigiero

oraz prace uczestniczek konkursu:

Martyny Zielińskiej /10 lat/, Kingi Buczyńskiej /10 lat/ i Alicji Świderek /10 lat/

Ilustracje: Marianna Bugajska /16 lat/

Łódź, 2013

Wydawnictwo dofinansowano ze środków Urzędu Miasta Łodzi:



60+
CENTRUM
AKTYWNEGO
SENIORA

Konkurs wsparły:



GALAKTYKA

rewon®

Drodzy Czytelnicy

„Bajka dla wnuczka” to projekt o charakterze konkursowym, zrealizowany przez Bałucki Ośrodek Kultury „Lutnia”. Jego adresatami w części literackiej były osoby powyżej 60 roku życia, a w części plastycznej dzieci z klas III szkół podstawowych. Kiedy pod koniec 2012 roku ogłaszaliśmy ten konkurs, nie spodziewaliśmy się, że spotka się z tak dużym zainteresowaniem. Wpłynęło kilkadziesiąt utworów literackich z całej Polski, z Europy, a nawet zza oceanu. Każda z nadesłanych bajek, została napisana z potrzeby serca, z marzeń, wspomnień, czasami tęsknoty za dzieciństwem, ale wszystkie przepełnione były optymizmem i życzliwością.

Najszczerzej i najserdeczniej dziękuję wszystkim autorom bez wyjątku, tym nagrodzonym i wyróżnionym, których bajki i ilustracje znalazły się w tym wydawnictwie, ale także pozostałym, którzy przenieśli nas w zaczarowane miejsca wyobraźni.

Nie byłoby tego projektu bez Moniki Zagajewskiej-Grajoszek, która była pomysłodawczynią, i która z wielkim zaangażowaniem i niezwykłą determinacją koordynowała projekt doprowadzając do wydania niniejszej książki. I właśnie w tym miejscu kieruję do Pani Moniki szczególne podziękowania.

Zapraszam wszystkich w magiczną podróż, w świat bajek, w którym dzielny delfin Daniel walczy z wielorybnikami, przeżyjecie niesamowitą przygodę z Darią i jej przyjacielem Eli – Eli, spędzicie wspaniałe wakacje z Karolem w jego niezwykłym domku, dowiecie się jak kłopoty dobrego Jaśka odmieniły złą czarownicę, poznacie sekrety gwiazd na niebie oraz będziecie towarzyszyć Filipkowi w podróży na „Wyspę Cudowności”.

Chciałabym mieć nadzieję, że lektura tej książki, będzie dla Was prawdziwą przyjemnością, a dla nas powodem do satysfakcji.

Ewa Majchrzak
Kierownik Bałuckiego Ośrodka Kultury „Lutnia”



Wielkie zwycięstwo

Płen emocji król Ferdynand wraz z małżonką Adelajdą, oczekiwali na odwiedzinę dostojnego gościa. Wprawdzie wizyty królewskiego kuzyna, Wielkiego Ewalda odbywały się regularnie co rok, ale gorączkowa atmosfera przygotowań za każdym razem burzyła spokój. Nie tylko króla, ale i całego dworu. Nerwy zawodziły nawet żołnierzy gwardii pałacowej ćwiczących ceremonię powitania. Pomimo wielogodzinnego treningu, nic nie szło zgodnie z planem. Zawsze ktoś spóźniał się z wykonaniem komendy. Powitalne okrzyki brzmiały nierówno. Ustawiany setki razy szereg, bardziej przypominał rogalik niż linię prostą...

– Kompromitacja – myślał Daniel, dowódca gwardii. Widział, że do osiągnięcia ideału daleka droga, lecz nie mógł dłużej prowadzić zajęć. Nadchodził wieczór, a wraz z nim czas kontroli posterunków strzegących królestwa. Po całym dniu ćwiczeń Daniel chciał jak najszybciej mieć ten obowiązek za sobą. Tym bardziej, że postanowił wrócić nim córka króla, Matylda, uda się na spoczynek. Podkochiwał się w królownie wiedząc, że to beznadziejne. Nie płynęła w nim nawet kropla królewskiej, czy bodaj książęcej krwi. Jednak uczucie przeważało nad rozsądkiem. Wzdychał do wybranki w każdej chwili wolnej od służby. Ogłosił więc koniec zajęć. Przywołał żołnierzy mających objąć nocną wartę i popłynęli. Zapytanie zapewne: „jak to, popłynęli”?

Po prostu. Popłynęli i już. Czy nie wspomniałem, że Ferdynand, Matylda, Daniel, jego żołnierze - wszyscy byli delfinami? No, może nie, bo po co, skoro wszystko było oczywiste od samego początku? Zwróciliście uwagę na imiona? Ferdynand, Adelajda, Daniel, Matylda. Nietrudno zauważyć, że w każdym występuje litera „d”. Dokładnie tak, jak nakazuje stara tradycja delfinów. Nawiasem mówiąc, w imionach wielorybów zawsze znajdziecie literę, „w”. Czy teraz już wiecie, kim był Wielki Ewald?

* * *

Delfiny spędzały większość czasu w ciepłych wodach oceanu. Tutaj polowały, urządzały zabawy i wyprowadzały na spacer swoje domowe zwierzątka: kolorowe rybki, krewetki, a nawet jeże morskie. Czuły się całkiem bezpiecznie, ponieważ na środek oceanu rzadko zapuszczały się wielkie drapieżniki morskie i rzadko pojawiali się ludzie. Królestwo leżało z dala od zamieszkałych wybrzeży, zaś szlaki żeglugowe nie bez powodu omijały je szerokim łukiem. W okolicy nie brakowało wirów, podwodnych raf i zdradliwych prądów morskich. Na dodatek, jedyna wyspa, była wyjątkowo nieprzyjazna. Gołe skały porastały rzadkie mchy. Nie było strumyków słodkiej wody ani drzew przydatnych do naprawy masztu, ani ocienionego miejsca na odpoczynek w upalne dni. Królestwo pilnowało bez przerwy czterech wartowników. Odpędzali drapieżniki mogące zagrażać młodzieży. Ostrzegali też przed innymi niebezpieczeństwami, dając sygnał powrotu do zamaskowanej pod wyspą twierdzy. Kilka metrów poniżej powierzchni oceanu pionowe skały kryły niewidoczne z góry wejścia do podwodnych tuneli. Tunele wiły się, rozgałęziały, to znów łączyły, tworząc tak skomplikowaną sieć, że jedynie mieszkańcy twierdzy umieli trafić do mieszkalnych jaskiń, podziemnego basenu, magazynów, królewskich komnat.

* * *

Daniel prowadził żołnierzy dobrze znaną trasą, lecz czuł, że coś jest inaczej niż zwykle. Dawno już powinien napotkać kolejnego wartownika. Tymczasem nie było go widać. Zaniepokojony postanowił zatrzymać oddział, chcąc zarządzić poszukiwania, gdy nagle rozległ się ogłuszający huk. Po nim świst czegoś nadlatującego z ogromną prędkością. Trafiony ostrym przedmiotem, oszołomiony potężnym uderzeniem, dowódca ostrożnie wynurzył głowę. Zlustrował otoczenie i zamarł. Na tle nocnego nieba kołysał się wielki, ponury cień.

– Co to może być? – Zastanawiał się przez chwilę. Chmura zasłoniła księżyc i wzrok musiał przyzwyczaić się do ciemności. Z mroku, wyłaniały się szczegóły, aż wreszcie przyszło olśnienie. Przypomniał sobie opowieści starych delfinów o niebezpiecznych spotkaniach z ludźmi i zrozumiał: to statek wielorybniczy. Musieli zauważyć, że świta Wielkiego Ewalda przybywa, co roku w okolice wyspy i urządzili zasadzkę. Na razie polują na delfiny.

– Wartownik pewnie został ich ofiarą. – Przemknęło przez głowę Daniełowi. Nie było jednak czasu na rozmyślanie.

– Zanurzenie! Zbiórka przy posterunku numer dwa! – Zawołał, a w zasadzie trochę zaćwierkał, trochę zagwizdał, gdyż w ten właśnie sposób porozumiewają się delfiny.

Żołnierze wypłynęli w bezpiecznej odległości od statku, pośpiesznie łapiąc oddech. Dowódca był już na miejscu. Wydając krótkie rozkazy wskazywał podkomendnych:

– Wy obserwujcie wielorybników. Ty ostrzeżesz Wielkiego Ewalda. Ja wracam powiadomić króla.

Po ostatnich słowach ruszył w kierunku wyspy tak szybko, jak pozwalała odniesiona rana. Ogłosił alarm i podążył głównym korytarzem wprost do królewskiego salonu.

* * *

Wielki salon ozdobiony czerwonymi i białymi koralami, po których ściekała cicho szmerząca woda, wyglądał jak przeniesiony wprost ze snu. Światło kolorowych meduz dodatkowo pogłębiało efekt, tworząc prawdziwie bajkową scenerię. Panująca rodzina czyniła właśnie ostatnie przygotowania do spotkania z kuzynem. Królowi po raz kolejny polerowano łysinę, królowa przymierzała wieniec z wodnych kwiatów, a królewna oglądała w gładkiej wodzie najnowsze tatuaże, zlecając poprawki artysty, skorpionowi morskemu. Choć prawdę mówiąc, nie było czego poprawiać. Specjalnie przedłużała prace, czekając na Daniela, który zawsze po kontroli posterunków składał Ferdynandowi meldunek. Bardzo jej się podobał silny, przystojny dowódca gwardii i nawet usiłowała kilka razy powiedzieć o tym ojcu. Niestety on nawet nie chciał słuchać. Myślał o małżeństwie córki z synem władcy sąsiedniego stada delfinów Adolfa i połączeniu obydwóch królestw. Nie brał jednak pod uwagę charakteru wyjątkowo upartej córki, która nie tylko miała własne, zupełnie inne plany, ale na dodatek zamierzała je zrealizować.

Upływały kolejne minuty, a zawsze punktualnego Daniela wciąż nie było. Król po raz kolejny upominał córkę żeby udała się na spoczynek, gdy do salonu dotarł sygnał alarmu. Chwilę potem, przez otwarte gwałtownie drzwi, wpadł do środka zakrwawiony Daniel. Wprawił obecnych w osłupienie swoim wyglądem. Dopiero po chwili do zaskoczonej Matyl-

dy dotarło, że jako dama ze znakomitego rodu powinna w takiej sytuacji zemdleć, co też niezwłocznie uczyniła. Po niej zemdlą królowa, a na koniec pokojówka, chociaż nie należała do arystokracji. Za to Ferdynand, jak przystało na władcę, zachował zimną krew. Wysłuchał meldunku, zwołał naradę wojenną i pochwalił Daniela za podjęte działania. Niestety, na tym wyczerpały się jego pomysły.

* * *

Gdy wszyscy wezwani stawili się przed królewskim obliczem i Daniel zreferował przebieg ostatnich wydarzeń, wśród doradców zapanowała cisza, a król bezskutecznie rozmyślał jak wybrnąć z trudnej sytuacji i od czego zacząć naradę. Milczał więc długo, zanim w końcu odezwał się niepewnie:

– Otwieram naradę. Kto chce zabrać głos?

Doradcy zazwyczaj hałaśliwi i pomysłowi nie byli w stanie wydać z siebie najmniejszego gwizdu ani nawet ćwierknięcia. Na pewno nie dodawał im otuchy widok Daniela operowanego przez kraba, który wielkimi szczypcami zgrabnie wyjął z pletwy złamany kawałek harpuna, zaszył krwawiące miejsce i na koniec zaczął je oklejać jakimś leczniczym liściem.

– Będzie bolało przy pływaniu – ostrzegł. – Powinien pan poleżeć kilka dni w moim szpitalu.

Daniel nie odpowiedział. Nie słyszał słów lekarza ani nie czuł bólu, tak był zajęty planem, który przyszedł mu właśnie do głowy.

Tymczasem król dalej nie miał żadnego pomysłu. Przerażeni doradcy ciągle nie byli w stanie nic doradzić. W końcu ochmistrzyni zdobyła się na odwagę.

– Mamy zapasy na sześć tygodni. Poczekajmy. Może sami odpłyną...

– A jak nie odpłyną? – Zapytał z przemądrzałą miną szambelan. – Albo w drodze powrotnej spotkają Wielkiego Ewalda? Przecież nie możemy pozwolić, żeby upolowali królewskiego kuzyna!

– No, to nie wiem. – Wyksztusiła zmieszana ochmistrzyni. – Próbowałam. Zamiast krytykować, lepiej niech pan wymyśli coś mądrego.

Szambelan błyskawicznie przypomniał sobie, że swędzi go wielki brzuch, więc tylko burknął:

– Nie mogę robić trzech rzeczy na raz. Jak pani to sobie wyobraża? Mam się jednocześnie drapać, myśleć i jeszcze coś mówić? Bez sensu. – Po

czym skupił się na drapaniu.

– Drodzy państwo, czekam. – Ponaglał król, który na razie nie wpadł na żaden pomysł, choć wcale nie miał zamiaru tego przyznać.

W krępującej ciszy uczestnicy narady z nagłym zainteresowaniem zaczęli oglądać swoje pletwy, później kolorowe ściany komnaty, królewskie portrety i popiersie Ferdynanda. A kiedy już wszystko obejrzeliby po kilka razy, opuścili wstydliwie wzrok, nie mając odwagi spojrzeć królowi w oczy.⁽¹⁵⁾ Milczeli, aż wreszcie z kąta przemówił Daniel.

– Wybacz królu. Wiem, że nie jestem twoim doradcą i nie powinienem się odzywać. Jednak w obecnej sytuacji... krótko mówiąc: mam pomysł. Wśród zebranych rozległ się szmer oburzenia.

– Co? Ten żołnierz będzie uczył nas, polityków, jak mamy postąpić? Na szczęście Ferdynand odzyskał pewność siebie. Machnięciem ogona nakazał ciszę.

– Więcej szacunku. Ten, jak mówicie, „żołnierz”, jest dowódcą gwardii i usiłuje uratować nam życie. Nie przeszkadzajcie.

Doradcy umilkli. Daniel sycząc z bólu, zbliżył się do stołu narad by przedstawić swój plan. W miarę słuchania, obecni spoglądali na niego z coraz większym podziwem.

* * *

Wielki Ewald był bardzo zaniepokojony. Odpłynął ze swym orszakiem zbyt daleko od domu by zawrócić. Nie mógł też zbliżyć się do wyspy, wokół której pływał pożywny plankton. Wydawało się, że ma tylko dwa wyjścia: głodową śmierć na środku oceanu albo spotkanie z wielorybnikami.

– Będziemy walczyć. Nie poddamy. – Postanowił i właśnie zaczynał obmyślać taktykę starcia z wrogiem, gdy tuż przed jego wielkim nosem wynurzył się delfin.

– Bądź pozdrowiony panie. – Zaćwierkał. – Przysłała mnie król Ferdynand.

– Czyżby statek odpłynął? – Zapytał z nadzieją w głosie Ewald.

– Nie. Nasz dowódca wymyślił, jak się pozbyć myśliwych. Potrzebujemy wieloryba o donośnym głosie, który odważy się podpłynąć w pobliże statku, zaryczy z całych sił i dyskretnie zniknie. My zajmiemy się resztą. I posłaniec opowiedział, na czym polega plan.

* * *

Na pełnym oceanie Daniel ustawił oddział w szyku przypominającym z góry wielką kroplę i powoli poprowadził go w kierunku statku. Co prawda kropla nie zachowywała idealnie swego kształtu, ale w falującej wodzie, po ciemku, na dodatek z wysokości bocianiego gniazda statku, gdzie siedział obserwator, można ją było uznać za wieloryba płynącego pod powierzchnią. I o to właśnie chodziło. Zatrzymali się w pobliżu statku zachowując ustaloną formację. Teraz pozostało tylko czekać na prawdziwego wieloryba wysłanego przez Wielkiego Ewalda.

* * *

Obserwator rozglądał się leniwie. W panującym mroku niewiele mógł zobaczyć. Znudzony z całych sił powstrzymywał senność, kiedy nocną ciszę nieoczekiwanie przerwał donośny dźwięk jakiego prawdziwy wielorybnik nie pomylił z niczym innym. Oprzytomniał w okamgnieniu. Spojrzał w kierunku skąd dobiegał głos, wyteżył wzrok i pod zmarszczoną lekkim wiatrem powierzchnią oceanu, dostrzegł zarys niewyraźnej sylwetki.

– Wieloryb na północy – wrzasnął z całych sił.

W jednej chwili na pokładzie zaroilo się od biegających marynarzy.

– Rozwinąć żagle – zakomenderował kapitan statku.

Gołe dotychczas maszty zaczęły znikać za łopoczącą białą płótna. Żagle wypełniły się wiatrem, statek zaskrzypiał i powoli ruszył w pościg.

– Panie kapitanie. – Zawołał marynarz z masztu. – Musimy uważać, bo za dnia widziałem tu pełno skał.

– Cicho. – Warknął kapitan. – Wieloryb nie jest taki głupi, żeby popłynąć na skały. Za nim!

Obserwator wypatrywał pojawiający się i ginący w półmroku wielki kształt. Prowadził sternika jego śladem. Tymczasem statek zdążył nabrać pełnej prędkości, mocnym dziobem pruć ocean i coraz szybciej zbliżał się do zdobyczy.

– Załadować armatkę. – Wydał kolejny rozkaz kapitan.

– Harpunnik sprawnie zabrał się do dzieła, kiedy nagle stało się coś dziwnego. Rozległ się cichy ni to gwizd, ni to świergot i kształt, który dotąd wydawał się być wielorybem wyskoczył spod wody podzielony na kilkadziesiąt lśniących w świetle księżyca części. Kiedy wszystkie kawałki wieloryba wpadły z powrotem do oceanu, połowa z nich ruszyła ostro w lewo, druga w prawo i zaczęły oddalać się coraz szybciej. Pośrodku, mię-

dzy nimi, przerażony obserwator ujrzał czające się tuż pod powierzchnią rafy, jednak było zbyt późno na jakąś reakcję. Zdażył krzyknąć, gdy statek z pełnym impetem uderzył w skałę, rozpadając się na kawałki. Na wodzie widać było tylko pływające deski z uciepionymi do nich ludźmi i wielką szalupę ratunkową ocalałą z katastrofy. Marynarze pośpiesznie wgramolili się do łodzi. Nie rozumiejąc co się stało, złapali za wiosła i najszybciej jak potrafili, oddalili się z miejsca, gdzie nieznanne moce o mało nie utopiły całej załogi. W jasnym świetle księżyca delfiny z ulgą obserwowały szalupę, która z każdą chwilą malała, aż wreszcie zmieniła się w niewielki punkt na horyzoncie, by w końcu zniknąć na dobre.

* * *

Daniel natychmiast wysłał posłańców z wieścią o zwycięstwie, a sam na czele oddziału popłynął do miejsca oficjalnego powitania wielorybów. Pomimo niedokończonych przygotowań, uroczystość wypadła znakomicie. Uczciwie trzeba przyznać, że wiele zawdzięczano mrokowi skrywającemu drobne niedociągnięcia. Uwagę przyciągała lśniąca, wypolerowana na najwyższy połysk łysina króla Ferdynanda oraz cudownie wyglądające: królowa i królewna. Członkowie obydwu orszaków zaczęli witać się serdecznie. Pośród radosnego zamieszania nikt nie zauważył, że Matylda podpłynęła do wuja szepcząc coś z przejęciem, a ten życzliwie się uśmiechał i aprobująco kiwał ogromną głową. Kiedy powitania dobiegły końca, Ferdynand wygłosił przemówienie. Kurtuazyjnie przeprosił królową za zajście. I chociaż, nie miał żadnego wpływu na poczynania wielorybników, to w ramach zadośćuczynienia, obiecał spełnić każde życzenie Wielkiego Ewalda. Zebrani spodziewali się równie dyplomatycznej odmowy, gdy tymczasem stało się coś nieoczekiwanego.

– Chętnie skorzystam z okazji. – Powiedział Ewald. – Nie wiedziałem jak to zrobić, ale skoro dałeś mi szansę, wyjawię swoje życzenie. Pragnę, abyś wydał Matyldę za Daniela. Ten dzielny młodzieniec będzie kiedyś wspaniałym królem.

Ferdynand nie wyglądał na zadowolonego.

– Miałem inne plany... – Zaczął mówić.

– Wiem, wiem, – przerwał mu Ewald – ale uwierz przyjacielowi. Ani król Adolf nie jest wart twojej sympatii, ani jego syn nie zasłużył na poślubienie Matyldy. Czekaając na wieści o myśliwych, wysłałem do nich dworza-

nina z prośbą o pomoc. I wiesz, co? Po prostu odmówili.

Ferdynand zatrzęsł się ze złości od czubka nosa po koniuszek ogona.

– Więc to tak! – Oburzył się. Jednak po chwili, znów był spokojny, jak przystało na króla. Westchnął filozoficznie:

– Cóż. Nawet delfin może się pomylić. Zbliźcie się moje dzieci.

Szczęśliwa królowna z zaskoczonym Danielem podpłynęli do króla, a ten położył im płetwy na głowach mówiąc:

– Zgadzam się na wasz związek. Bądźcie szczęśliwi. Wkrótce wyprawię wam wesele... – I zamilkł. Wzruszenie nie pozwoliło mu wykszusić ani słowa więcej.

– Dziękuję tato. Dziękuję wujku. – Zawołała Matylda. Machnęła wesoło ogonem i odwróciła się do Daniela. – Chodź, pokażę ci mój zbiór muszelek.

Popchnięty przez energiczną Matyldę Daniel ledwie zdążył złożyć wymagany dworską etykietą ukłon. Po chwili młodzi trzymając się za płetwy odpłynęli w kierunku wejścia do podziemnego świata delfinów. Ferdynand długo spoglądał w ich stronę, zanim odezwał się do kuzyna.

– Przykro mi, że nie mogę cię zaprosić do pałacu, ale sam rozumiesz. Raczej nie zmieścisz się do środka.

Obaj władcy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Jacek Kocot

III nagroda oraz nagroda Dziecięcego Jury





Król Rok i jego kłopoty

W

bardzo dawnych czasach żył król, który nazywał się Rok. Pano-
wał już tak długo, że nikt nie pamiętał poprzedniego króla, ani czasów
sprzed panowania obecnego władcy. Może tylko czarodziej Czas, który
mieszkał w lesie, w dziupli, mógł coś pamiętać, ale ludzie się go obawiali
i nikomu nie przyszło do głowy go wypytywać. Król był już bardzo stary
i zmęczony. Miał cztery śliczne córki i dwunastu wnuków. Najstarsza cór-
ka nazywała się Jesień. Lubiła zbierać kasztany, strącać jabłka z drzew,
spacerować po deszczu albo biegać szurając nogami po szeleszczących
liściach. Druga królewna miała na imię Lato. Biegała boso po plaży, zbie-
rała muszelki, albo wśród pól dojrzałego zboża goniła motyle. Trzecia,
Wiosna - zbierała kwiaty na bukiety, budziła zwierzęta w lasach i odpe-
dzała chmury, gdy zbyt mocno zasłaniały słońce. Najmłodsza córka, Zima,
ubrana w futrzany płaszcz, ślizgała się po zamrzniętych kałużach, ry-
sowała kwiaty na szybach i prosiła śniegiem. Choć królewny miały
zupełnie odmienne charaktery, nie przeszkadzało im to zupełnie. Zaj-
mowały się swoimi sprawami i starały się nie psuć sobie wzajemnie za-
bawy. Każda z córek króla miała trzech synów. Mieszkali wszyscy razem,
w wielkim, pięknym zamczysku położonym wśród wysokich gór. Nad zam-
kiem wznosiły się ośnieżone szczyty, poniżej rozciągały się ciemne bory,
a z okien zamku widać było kolorowe łąki pełne zbóż i kwiatów, docho-
dzące do samej plaży, za którą pieniało się nieskończone morze.

Żyli szczęśliwie i zgodnie, a chłopcy bawili się, kłócili, płatali figle aż ich
śmiechy i krzyki rozbrzmiewały w całym zamku. Stary król coraz gorzej
znosił te hałasy. Lubił sobie drzemać na tarasie w słońcu, a rozbrykani
chłopcy biegali po całym zamku i często przeszkadzali dziadkowi.

- Oj, moja głowa - stękał król - moje uszy! Taki jestem zmęczony.

Córki króla uciszały synów, kazały im się bawić na dworze, ale nie tak ła-
two uspokoić dwunastu chłopców, którzy mają ochotę gonić się, skakać i
robić psikusy. Kiedy Kwiecień odpędzał chmury, żeby zaświeciło słońce
to Listopad dmuchał zimnym wiatrem i sprowadzał deszcz. Kiedy Luty sy-
pał śniegiem wokół pałacu, to Lipiec sprowadzał upał, śnieg się roztopiał

i tworzyło się błoto. Gdy Maj śpiewał z ptakami słodkie melodie w ogrodach królewskich, Październik kazał im odlatywać do ciepłych krajów. Z tych psot wynikał bałagan, który bardzo śmieszył chłopców, ale dla króla stał się udręką. Rozumiał, że mali chłopcy lubią hałasować i dokazywać, ale był już za stary by znosić taki tumult w domu. Zamiast spokojnie drzemać, szarpał swoją siwą brodę usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie. Byłoby dobrze, żeby chłopcy mieszkali gdzieś dalej. Ale z drugiej strony bardzo ich kochał i nie chciał się z nimi rozstawać. Wyobrażał sobie, jak ogromnie smutno i samotnie czułby się w zamku, gdyby córki z wnucami wyprowadziły się. Wszyscy chcieli znaleźć wyjście z sytuacji. Królowy widziały zmęczenie króla i rozumiały, że na starość pragnie spokoju i wypoczynku. Aż któregoś dnia król zawołał:

– Mam! Wymyśliłem! To zupełnie dobry pomysł. Chodźcie tu, córeczki i powiedzcie, co o tym myślicie.

– Moje królestwo jest bardzo duże. Nikt nawet nie wie, gdzie się zaczyna, ani gdzie się kończy. Każę wybudować każdej z was piękny pałac w okolicy, którą sobie wybierze. Zamieszkacie tam ze swoimi synami. Ale nie myślcie, że nie chcę was widywać. O nie! Będziecie kolejno mnie odwiedzać. I umówimy się tak, że każdy chłopiec przez około 30 dni będzie mógł się bawić jak zechce, a inni nie będą mu w tym przeszkadzali. W ten sposób będę was wszystkich widywał, wnukowie nie będą się nudzili, a ja będę mógł spokojnie spędzać czas na spacerach i rozmowach z moimi córkami. Jak wam się podoba mój pomysł?

Córki były zachwycone, bo rozwiązanie było dobre dla wszystkich, nie oznaczało całkowitego rozstania dla członków rodziny a dzięki niemu życie króla i otoczenia mogło być przyjemniejsze. Wszyscy się ucieszyli z takiego obrotu sprawy, a król z radości urządził uroczyste przyjęcie. Oczywiście chłopcy znów nadużywali dziadkowej cierpliwości, bo każdy chciał, czego innego: październik – winogron, czerwiec – truskawek, sierpień – lodów a grudzień – gorącego barszczyku. Ale ponieważ był to ostatni wspólny posiłek, król patrzył na grymasy chłopców łaskawym okiem i nie bardzo się gniewał. Następnego dnia wezwał budowniczych i rozpoczęły się prace nad pałacami dla królewskich córek. Wkrótce powstały piękne, wymarzone budowle.

Wśród górskich, ośnieżonych szczytów stanął kryształowo-lodowy pałac Zimy, cały ozdobiony iskrzącymi się soplami i płatkami śniegu. A ogrody pałacowe pełne były świerków przykrytych białymi czapami i bystrych

strumyków, które wpadały do zamrożonego jeziora. Tutaj trzej synowie Zimy: Grudzień, Styczeń i Luty mogli jeździć na łyżwach, gdy znudziła im się jazda na nartach i sankach oraz obrzucanie się śniegowymi kulami.

Wiosna poprosiła, aby jej pałac stanął wśród kwiecistych łąk. Był on ozdobiony gałązkami bazi i sasankami. W przypałacowych ogrodach kwitły drzewa owocowe, a klomby pełne kwiatów radowały oczy wszystkimi kolorami tęczy. W krzakach bzu śpiewały słowiki, a w stawach kumkały żaby. Synowie Wiosny: Marzec, Kwiecień i Maj biegali w kaloszach po podmokłych łąkach, zbierali kaczeńce opiekowali się młodymi zwierzątkami.

Lato życzyła sobie, aby jej pałac stanął na plaży przy morskim brzegu. Był cały żółty jak promienie słońca i ozdobiony muszelkami. W ogrodach, wśród grządek wielobarwnych kwiatów rosły palmy i kaktusy, w sadach dojrzewały czereśnie i brzoskwinie, a trzej chłopcy: Czerwiec, Lipiec i Sierpień całymi dniami kąpali się w morzu, budowali zamki z piasku i pływali na wodnych nartach.

Jesień zamieszkała ze swoimi synami w głębi lasu. Na wielkiej polanie stanął jej pałac opleciony winoroślą o płomiennych liściach i fioletowych kiściach winogron. Las był jej ogrodem pełnym żołądzi, grzybów i różnobarwnych liści. Wrzesień, Październik i Listopad chodzili na grzybobranie, rozdawali czerwone jabłka, a wiewiórkom pomagali zbierać orzechy.

Wszyscy byli zadowoleni, bo chłopcy trochę się uspokoili, a stary król mógł się rozkoszować ciszą. Córki kolejno przybywały w gościnę do ojca, a on patrzył rozczulony jak wnukowie rosą i coraz lepiej dają sobie radę w życiu. Czasami wspominali czasy, gdy cała rodzina mieszkała razem.

Pierwsza odwiedziła króla Wiosna. Przyszła z naręczem niezapominajek, a jej syn Marzec otwierał pączki na drzewach, aż małe, zielone listki ukazały się w promieniach jeszcze trochę zziębniętego słońca. Kwiecień dmuchnął ciepłym wiatrem, otwierał kwiaty i wskazywał drogę ptakom wracającym z ciepłych krajów. Maj pomagał opiekować się pisklętami, wypędzał ciemne chmury i obsypywał drzewa w sadzie biało-różowymi kwiatami.

Kiedy czas ich wizyty minął, przybyła Lato. Czerwiec ogrzał powietrze, żeby szybciej dojrzewały owoce. Lipiec i Sierpień stworzyli taką pogodę, że ludziom zachciało się wakacji. Nie wszyscy jednak mogli długo

odpoczywać, bo zboża dojrzały i rolnicy przystąpili do ścinania złotych kłosów.

Gdy król zmęczył się upałem, przyszła Jesień. Wrzesień ochłodził ranki i wieczory i tylko w południe było ciepło. Październik pomalował liście drzew na czerwono, pomarańczowo i żółto. Długo byłyby takie kolorowe, gdyby Listopad ich nie zdmuchnął. Pospadały razem z kasztanami i żołądziami. Dmuchał jeszcze przed odejściem, w skrzydła odlatujących ptaków. I już nadchodziła królowa Zima, a z nią jej mroźni synowie. Grudzień sypanął śniegiem i wybielił elegancko świat na święta Bożego Narodzenia. Styczeń zaświstał wiatrem i ucichł, żeby uspione drzewa mogły odpocząć. Luty ścisnął mrozem świat, ale nie na długo, bo już zbliżała się pora nadejścia Wiosny. Marzec zabierał się rażno do roztopiania śniegu i robienia błota.

Tak to trwało, i trwało. Córki i ich synowie odwiedzali kolejno króla, a ludzie, rośliny i zwierzęta przyzwyczaili się do tego, że po kolei następowały po sobie: ciepła wiosna, gorące lato, chłodna jesień i mroźna zima. Przez długie lata ten rytm bardzo wszystkim odpowiadał. Jednakże król starzał się i panowanie nad światem męczyło go. Chciał przekazać władzę następcy, ale nie wiedział, komu. Miał dwunastu wnuków, ale jak tu wybrać jednego? Po pierwsze pozostali zazdrościliby wybrańcowi, a po drugie wybrany wnuk robiłby tylko to, co lubi i umie. Ludzie zrozumieli, że wszystko jest potrzebne: mrozy, upały i deszcze. Gdyby zapanował Luty, świat zostałby na zawsze zmrożony, nie byłoby owoców, traw. Lipiec wprowadziłby wieczny upał, roślinność wyschłaby, a ludzie i zwierzęta nie mieliby co jeść. Nie, zniszczyliby świat, który przyzwyczał się już do regularnych zmian. Nawet, gdyby panował wiecznie Maj, byłoby przyjemnie, lecz zboże by nie dojrzewało, ziemia by nie mogła odpocząć po zebraniu plonów. Królowi i wszystkim ludziom podobały się następujące po sobie pory roku i zmiany, które z tego wynikały.

– Zupełnie nie wiem, co robić – skarżył się król swojej córce Zimie, bo akurat ona przybyła do niego z wizytą – tak bardzo chciałbym odpocząć od panowania, ale nie mam komu zostawić królestwa.

– My, wszystkie, od dawna zastanawiamy się nad tym problemem. Nie chcemy, żebyś odchodził, bo cię bardzo kochamy, a poza tym wszyscy są szczęśliwi pod twoim panowaniem. Najlepiej byłoby, gdybyś mógł odmłodnieć, ale to tylko czarodziej mógłby sprawić.

– To czemu nie pójdziecie do czarodzieja? – Spytał Grudzień, który wła-

śnie rozpętał śnieżną zamieć. – On na pewno coś doradzi.

Zima udała się do lasu, do czarodzieja Czasu. Śniegowe płatki pokazywały jej drogę tak, że szybko odnalazła stary dąb z wielką dziuplą, która służyła mu za mieszkanie. Czarodziej spał sobie smacznie na posłaniu z ciepłego mchu. Królowna musiała długo pukać zanim gospodarz uchylił drzwi dziupli. Opowiedziała mu o starym królu Roku, o tym jak jest zmęczony i, że chciałby przekazać panowanie jakiemuś następcy, ale nie wie komu. Czarodziej wysłuchał tej opowieści i zafrasował się.

– Hm, to nie będzie łatwe. Nigdy dotąd nie odmładzałem króla. – Mruknął do siebie. A do królowny rzekł głośno:

– Powiedz swojemu ojcu, że spróbuję mu pomóc, ale muszę zajrzeć do czarodziejskich ksiąg i zastanowić się nad tym zadaniem. Wracaj do zamku, a ja za trzy dni przybędę do was po zachodzie słońca i uczynię, co w mojej mocy.

Królowna Zima podziękowała czarodziejowi i podążyła do zamku. Przez trzy dni służba pałacowa i kucharze szykowali ucztę, żeby godnie przyjąć czarodzieja. A trzeciego dnia wieczorem król Rok i królowna Zima zasiedli w sali tronowej czekając na dostojnego gościa. Grudzień jeszcze bawił się na dworze, bo jego czas już się kończył i od następnego ranka Styczeń miał zacząć rządzić po swoim. Luty poszedł spać, bo mu się nie chciało czekać. Jego kolej miała nadejść dopiero za kilka tygodni.

Czarodziej nie musiał pukać do bramy, bo za pomocą magicznego zaklęcia od razu znalazł się w sali tronowej. Stało się to tak nagle, że królowna nawet trochę się przestraszyła. Król posadził gościa za stołem i kazał podawać wieczerzę. W czasie jedzenia czarodziej wyłożył wszystkim swój plan.

– Nie mogę cię królu odmłodzić. Zresztą, to nie miałyby sensu, bo skoro jesteś już teraz bardzo zmęczony, to zamieniając cię w młodzieńca dołożyłbym ci jeszcze wiele lat panowania i zmęczenia. Ale nawet gdybyś tego chciał, to i tak cała moja czarodziejska wiedza nie jest tak wielka, żebym mógł wrócić komukolwiek młodość. Wymyśliłem coś innego. Zamienię cię królu w gwiazdę na niebie: będziesz mógł odpocząć od długiego życia i kłopotów, a jednocześnie będziesz widział z wysokości całe królestwo, córki i wnuków. Na twoje miejsce ześlę na ziemię gwiazdkę, która zamieni się w niemowlaka. Będzie to Nowy Rok – w ciągu trzech miesięcy stanie się on chłopcem, po sześciu miesiącach – młodzieńcem,

po dziewięciu – dojrzałym mężczyzną, a po dwunastu – starcem, który zmieni się w gwiazdę na niebie, a na jego miejsce znów pojawi się mały Nowy Roczek. I tak będzie trwało do końca świata. Czy podoba ci się, królu, mój pomysł?

Rozmarzony król nie usłyszał pytania, bo wyobrażał sobie jak to cudownie będzie zamienić się w gwiazdkę na niebie i uśmiechał się do własnych marzeń. Takie rozwiązanie nigdy by mu nie przyszło do głowy. Gdy czarodziej powtórzył pytanie, król uściskał go z radości i kazał dać mu worek złota.

– Niepotrzebne mi złoto. – Zaśmiał się czarodziej – Mógłbym przecież każdy kamień zamienić w bryłkę złota, a każdą szyszkę z lasu w klejnot, ale po co? Dużo bardziej cieszy mnie ludzka radość spełnionych marzeń. Skoro spodobał ci się mój plan to zwołaj gości i weselmy się!

Grudzień śmignął z zaproszeniem do zamków pozostałych córek króla i zawiadomił je o ostatnich wydarzeniach. Uprzedził, że król chce się pożegnać z rodziną i że pozostałym wnukom nie wolno przeszkadzać Grudniowi w jego pracy. Ani król, ani czarodziej nie życzą sobie tego dnia żadnych kłótni. Król zarządził tańce, turnieje i zabawy, żeby goście się nie nudzili.

W kilka chwil królowny były gotowe i wraz z synami na skrzydłach grudniowego wiatru przybyły do zamku. Rozpoczęła się wspaniała uczta. Były pyszne dania, orkiestra grała do tańca. W rześcisie oświetlonej sali balowej goście jedli, tańczyli i pili za zdrowie odchodzącego króla.

Wreszcie czarodziej wstał i rzekł:

– Czas twojego panowania kończy się, królu. Teraz żegnaj się z rodziną a gdy na wieży zamkowej zegar wybije godzinę dwunastą zamienisz się w gwiazdę, a na twoje miejsce pojawi się Nowy Rok.

Król uściskał córki i wnuków. Ledwie zdążył pożegnać się ze wszystkimi, a już zegar zaczął wybijać godzinę. Królowny jeszcze ocierały łezki, chłopcy machali oddalającą się gwiazdce (A), gdy nagle na tronie pojawiło się uśmiechnięte, różowe niemowlę. Czarodziej wznosił kielich szampana, skłonił się i powiedział:

– Witaj Nowy Roku! Niech twoje panowanie będzie szczęśliwe i przyniesie wszystkim pomyślność!

Goście wzniesli kielichy i wypili za zdrowie Nowego Roku. Nadeszła kolej Stycznia – wychodząc na dwór uśmiechnął się do malca i uszczypnął go w nos. Nowy Roczek kichnął ku uciechu wszystkich gości, a Styczeń

wyskoczył szybko za drzwi, bo jego mama Zima, groźnie zmarszczyła brwi. Zadarł głowę do góry, żeby zobaczyć gdzie też dziadek Rok się znajduje. Zobaczył miliony gwiazd. Jedna do niego mrugnęła. Może to właśnie Stary Rok?

Na zamku bawiono się do rana. A gdy gwiazdy poblady i zabłyśły pierwsze promienie słońca, czarodziej ogłosił:

– Na pamiątkę dzisiejszych wydarzeń, noc, kiedy kończy się grudzień a zaczyna styczeń będzie nocą czarodziejską. Stary Rok będzie odchodził, a pojawiał się Nowy Rok. Ludzie będą urządzali uroczyste bale i zabawy, żeby pożegnać odchodzące i powitać to, co przyjdzie.

Ludzie ucieszyli się z tego święta i polubili noworoczną noc. Przez cały rok ciężko pracowali i nie mieli wiele czasu na zabawy. Na wiosnę orali ziemię, siali ziarna, sadzili rośliny, latem kosili zboża, ustawiali kopce siana, wypasali zwierzęta na łąkach. Jesienią zbierali owoce i jarzyny, żeby zrobić zapasy na zimę. A zimą, gdy ziemia odpoczywała, ludzie robili wszystkie prace, których nie zdążyli zrobić wcześniej. Wieczorami natomiast opowiadali sobie baśnie i legendy.

Ile czasu trwa już zamiana Starego Roku na Nowy Rok? Jak długo jeszcze będzie trwała? Spójrzcie kiedyś na wygwieżdżone niebo: tysiące gwiazd mruga do nas. Te większe to starzy królowie, którzy kiedyś odeszli. Te mniejsze to Nowe Roczki, które czekają na swoją kolej, żeby przyjść na ziemię którejś sylwestrowej nocy. Jeśli chcecie to policzcie małe gwiazdki a będziecie wiedzieli ile jeszcze razy będzie przychodził Nowy Rok. A gdybyście zobaczyli spadającą gwiazdę, wypowiedzcie jakieś życzenie. Musi ono być dobre i szybko pomyślane, wtedy może się spełni. To jeden z darów czarodzieja Czasu, które zostawił ludziom, zanim wrócił do swojej dziupli w starym dębie.

Maria Werner
I nagroda



Burza

Daria biegła po trawie sięgającej jej do pasa i zanurzonej we mgle. W pewnej chwili opar zaczął unosić się do góry, zabierając ze sobą dziewczynkę. Poczula się tak lekko, że mogła swobodnie stawiać nóżki na kłębiącej się pianie. Razem z mgłą unosiła się wyżej i wyżej... Była już na wysokości szczytów drzew, a czuła, że nadal się unosi. Zaczęła poruszać rękoma, co sprawiło, że oderwała się od białej powierzchni i pływała w powietrzu. Szybowała, zataczając piruety. Była już tak wysoko, że widziała z góry całe jezioro, a także położony niedaleko brzegu swój dom, ogród i plac zabaw.

Jak zabawnie wszystko wyglądało z góry. Zawsze zazdrościła ptakom, że mogą latać i podziwiać wspaniałe widoki, teraz mogła odczuwać to, co one. Czyżby na zawsze posiadała zdolność latania? A może, gdy słońce ukaże się wśród gęstych chmur, czar pryśnie i będzie musiała wrócić na ziemię? Cieszyła się więc możliwością latania i niezwykłym pięknem przyrody. Spróbowała dotknąć chmur. Nic nie poczuła. W pewnej chwili pojawił się jasny błysk i z hukiem wpadł do pokoju Darii. Zerwała się gwałtownie z łóżka i usiadła, przecierając oczy. Była oszołomiona. Próbowała zrozumieć, co się stało. Spojrzała przez okno i zrozumiała. Wspaniały sen o lataniu został przerwany przez burzę. Pioruny, jeden po drugim, rozświetlały niebo. Daria bardzo żałowała, że sen przerwano jej w tak ciekawym momencie. Położyła się więc i zamknęła oczy. Chciała wznieść się z powrotem między chmury. Nie mogła już jednak zasnąć. Przeszkadzała jej hałaśliwa burza. Zapaliła małą lampkę przy łóżku i usiadła, wpatrując się w okno. Fale deszczu rozbijały się o szybę i spływały na parapet. Obraz stawał się coraz bardziej monotony i zaczął nużyć dziewczynkę. Nagle o szybę uderzył ciemny kształt, który następnie zsunął się na krawędź parapetu. Przypominał czarnego ptaka próbującego rozłożyć skrzydła. Daria podeszła do okna i wyjrzała. Było zbyt ciemno. Dopiero, gdy kolejny błysk oświetlił parapet, okazało się, że na jego krawędzi siedzi skulony, dziwny zwierzak. Skrzydła złożone i przy-

klejone do korpusu, ciało pokryte futerkiem, sterczące uszy. Daria rozpoznała tajemniczego przybysza. To był nietoperz. Szybko przypomniała sobie, co wiedziała o nietoperzach. Mieszkają w ustronnych i ukrytych przed ludźmi miejscach. W dzień śpią, a fruują nocą. Nie byłoby nic dziwnego w pojawieniu się nietoperza, ale tej nocy światem rządziły żywioły, które nawet dla nietoperzy nie mogły być przyjazne. Stworzenie kulące się na parapecie było małe, zmoknięte i śmiertelnie przerażone. Żył jednak. Co robić? Sytuacja nie była przecież naturalna dla tego malucha. Daria była bardzo ciekawa skąd się tu wziął. Weszła na stołeczek i zaczęła otwierać okno. Odchyliło się. To było proste, ale okno w pokoju było podwójne. Chwyliła za klamkę okna zewnętrznego i przekręciła je. Pchnęła lekko. Świsł powietrza i groźny huk. Wiatr usiłował wyszarpnąć skrzydło okna z jej rąk. Musiała trzymać z całej siły. Drugą ręką chwyciła nietoperza i chciała wciągnąć go do środka. Wystraszony stawiał opór.

– Ty głuptasie, przecież chcę ci pomóc! – Krzyknęła Daria.

Nietoperz zaskoczony tym, że usłyszał i zrozumiał słowa wypowiedziane przez człowieka, poddał się. Dziewczynka zatrzasnęła okno i otarła wodę z oczu i włosów. Dopiero wtedy przyjrzała się nietoperzowi. Był jeszcze mniejszy, niż się wcześniej wydawało. Futerko błyszcząco przyklejone do skóry, małe spiczaste uszy sterczały żałośnie.

– Co ty tutaj robisz? Kto cię wypuścił z domu w taką noc?

Odpowiedzi nie było.

– Powiedz mi przynajmniej, skąd się tutaj wziąłeś?

Jedyną odpowiedzią był delikatny ruch coraz bardziej wystających uszu.

– Widzę, że nie porozmawiamy sobie dzisiaj, więc słuchaj – teraz wytrę ciębe ręcznikiem, posadzę na fotelu, przykryję kocykiem i położę spać, Ach tak, przecież ty pójdziesz spać rano. Co ja mam teraz z tobą zrobić?

– Ja chcę do mamy – Odpowiedział jej cienki, piskliwy głosik.

– To przynajmniej wiemy, że mówisz, czyli również słyszysz. Skąd ja mam wiedzieć, gdzie jest twoja mama? A nawet gdybym wiedziała, to jak w taką burzę miałabym jej szukać?

– Ja chcę do mamy! – Powtórzyło zwierzątko jeszcze ciszej, połykając łzy.

– Powtarzam ci, że teraz to niemożliwe. Burza przejdzie i wtedy poszukamy twojej mamy. Wiesz przynajmniej, gdzie ona teraz jest?

- Tak, w takim wielkim, wysokim domu ze skrzydłami.
- Wielki i wysoki – to rozumiem, ale co tam robią skrzydła?
- W czasie burzy głośno piszcza – Odpowiedział maluch.
- Kto jeszcze mieszka w tym domu?
- Rodzice, moja siostra i wiele innych rodzin...
- A ludzie? Tacy jak ja.
- Nie, nigdy nie widziałem nikogo takiego.

Rodzina nietoperzy mieszkała w wielkim opuszczonym budynku ze skrzydłami. Pewnie chodziło o wiatrak. Daria zamyśliła się. Szukała w pamięci, czy gdzieś w najbliższej okolicy znajduje się wiatrak. Ale tutaj takiego nie było. Gniazdo nietoperzy musiało być gdzieś dalej. Trzeba poczekać do rana i wtedy go odszukać. Wystarczy spytać nietoperza.

- Czy pamiętasz, skąd leciałeś?
- Nie leciałem. Jeszcze nie umiem latać. Porwał mnie wiatr i przyniósł tutaj.
- To, czemu opuściłeś swój dom?
- Nie opuściłem, byłem przyczepiony do kawałka deski. Wiatr ją porwał.
- Czy jesteś głodny? – Spytała dziewczynka.
- Bardzo głodny – Chlipnął maluch.
- A co ja ci mogę dać do jedzenia? Owadów tutaj nie ma.
- Piję tylko mleko mamy.
- Jak by jeszcze było mało kłopotów. Skąd ja mam wziąć mleko nietoperza? –Pomyślała dziewczynka a głośno zapytała:
- A do jutra możesz wytrzymać bez jedzenia?

Nietoperz skulił się tylko.

Daria usiadła na łóżku i westchnęła.

- I co ja mam teraz zrobić? Nie wiesz, gdzie mieszkasz, jesteś głodny i musisz jak najszybciej odnaleźć mamę. Na dworze ciemno a do tego burza z piorunami. Mamy problem.

Trzeba znaleźć wiatrak, ale gdzie go szukać? Jedynym sposobem jest pójście pod wiatr skoro maluch przyleciał z wiatrem. To wydawało się Darii logiczne. Rano wiatr może się zmienić i wtedy już nigdy nie znajdzie właściwej drogi. A jeśli to bardzo daleko? Nie, daleko być nie może.

- Idziemy!
- Czy do mamy?

– Tak, do twojej mamy.

Daria podjęła decyzję i postanowiła zrealizować ją natychmiast. Zdawała sobie sprawę, że jeśli zacznie zastanawiać się nad niebezpieczeństwami związanymi z realizacją wyprawy, to może z niej zrezygnować. Ubrała się szybko. Nie zdejmowała pidżamy, założyła na nią ciepłe ubranie, na nogi długie kalosze, a na ramiona płaszczyk z kapturem. Nietoperza delikatnie wsunęła do kieszeni. Nie zapomniała też o najważniejszej rzeczy – maleńkiej chorągiewce, która będzie wskazywać jej kierunek wiatru. Teraz wystarczy iść prosto pod wiatr. Cicho, aby nikogo nie zbudzić, zbiegła po schodach. Przy drzwiach usłyszała szelest. Zamarła. Powoli odwróciła głowę i... uśmiechnęła się. To obudził się jej przyjaciel, czarny nowofundland Bari. Nie mógł zrozumieć, po co jego mała pani wybiera się na dwór nocą, w taką pogodę. Ale Bari spędził z Daria dużo czasu i wiedział, że dziewczynka postępuje rzadko zgodnie z przyjętą logiką, szczególnie, z psią logiką. Dzisiaj wyczuł niepokój, a nawet niebezpieczeństwo, postanowił, więc iść za Daria.

– Zostań, Bari. Muszę iść, aby poszukać wiatraka, gdzie mieszkają nietoperze. Takiego nietoperzowego dzidziusia przyniosła mi burza. Jest głodny i boi się, a ja muszę mu pomóc.

– A więc idziemy razem – Mruknał Bari.

– No... Dobra... Idziemy, przynajmniej będzie mi raźniej i nie zabłądę w drodze powrotnej. – W duchu Daria ucieszyła się z towarzystwa przyjaciela.

Otworzyła drzwi i wyszli na patio, a potem na podwórze. Łało strasznie i niewiele było widać. Kiedy wyszli na łąkę, dziewczynka wyjęła chorągiewkę, która zmokła natychmiast, ale siła wiatru utrzymywała ją niemalże poziomo. Całe szczęście, że droga była jej dobrze znana. Za łąką zaczynało się Rubakowe Pole, dalej wysokie trawy pastwisk ciągnęły się aż do Czarciej Doliny. Było to miejsce tajemnicze, rzadko odwiedzane, gdzie niemal każdego wieczoru rodziły się mgły. Zdarzało się, że puszyste kłęby mglistej piany dochodziły do płotu przy domu Darii. Ale w dzień dolina wyglądała jak inne: grząski grunt pokryty małymi kępami wiklin.

– Idziemy, Bari.

Pies bez słowa biegł obok. Rozumiał, że mają iść pod wiatr i nie wyprzedzał dziecka. W tych ciemnościach mogliby się natychmiast zgubić.

Gdy mijali zarośla wikliny, oslepiła ich błyskawica i prawie równocześnie usłyszeli grzmot. Piorun uderzył niedaleko, co dziewczynka rozpoznała po krótkim odstępie czasu między błyskiem a grzmotem. Tatuś niedawno uczył ją, jak obliczyć odległość. Zawsze pierwszy widać błysk, gdyż światło biegnie bardzo szybko, dopiero potem słychać huk, gdyż dźwięk jest dużo wolniejszy od światła. Bari przykleił się do ziemi wystraszony. Daria przykucnęła przy nim i przytuliła go, głaszcząc delikatnie. Serce psa waliło jak oszalałe. Po paru chwilach wstał na cztery łapy i ruszyli na przód. Chorągiewka nadal spełniała swoją rolę. Szybko poruszali się, prawie zupełnie, w ciemnościach. Na szczęście przestrzeń przed nimi była otwarta. Gdyby trafili na las, wiatr byłby słabszy i na pewno zmieniałby kierunek. Za Czarcią Dolinką trafili na strumyk, którego wcześniej nie było. Daria pamiętała, że w tym miejscu był tylko płytki rów. Widocznie ożył podczas burzy, wypełniając się wodą. Bari znalazł najwęższe miejsce i Daria przeskoczyła przez niego. Teren przed nimi się nie zmieniał. Pod nogami czuli tylko trawę. Szli coraz szybciej. Kiedy łączka zaczęła się wznosić, dziecko domyśliło się, że zbliżają się do Barowego Wzgórza. Spojrzała na chorągiewkę i przed siebie.

– Teraz muszę przejść przez szosę, a po drugiej stronie będą niskie sosnowe lasy – W myślach układała dalej trasę.

Błysk pioruna rozświetlił teren i potwierdził domysły dziewczynki: byli na Barowym Wzgórzu. Tuż za szosą zanurzyli się w młodnik. Wiatr był tu nieco słabszy, ale wystarczający do określenia kierunku marszu, więc przedzierali się wśród sosenek dość szybko. Lasek się skończył, a zaczęły się wysokie paprocie. Teren stał się zupełnie nieznanym. Tak daleko mała bohaterka nie zapuszczała się jeszcze sama. Dobrze, że pozwoliła iść Bariemu. Czas płynął szybko, nie potrafiła jednak ocenić, jak długo idą i jak daleko są do domu. Nie widać też było ciągle celu podróży. Nagle doszli do lasu. Na szczęście drzewa były wysokie, a poszycie składało się z mchu. Trafili na ścieżkę. Daria na wszelki wypadek spojrzała na ledwie unoszącą się chorągiewkę, ale wszystko się zgadzało, ścieżka prowadziła pod wiatr. Przy następnej próbie chorągiewka już się nie podniosła. Dziewczynce pozostało wyczuwać powiew wiatru na twarzy. Las nagle się skończył. Byli na dużej polanie. Daria stanęła zmęczona, próbując przebić wzrokiem ciemność. W tej samej chwili ogromna błyskawica rozjarzyła niebo niemalże nad jej głową. W świetle ujrzała kilkadziesiąt

kroków przed sobą wielką bryłę wiatraka. Ucieszyła się tak bardzo, że zapomniała o strachu. Delikatnie dotknęła kieszonki, gdzie siedział nietoperz.

– Jesteśmy na miejscu, maleńki. Zaraz zobaczysz się ze swoją mamą – Powiedziała Daria.

Nietoperz również zareagował na błysk i mimo iż nie mógł widzieć polany, wyczuł obecność swojego domu. Poruszył się w kieszeni. Daria poczuła radość z powodu dotarcia do celu. Od błysku pioruna upłynęła chwila, ale kierunek, zapisał się w jej pamięci. Dziewczynka rażno ruszyła do przodu, rozglądając się za Barim. Wystraszony nowofundland powoli wstawał na przednie łapy. Ta rasa bardzo lubi wodę i długie forsowne spacerki, ale źle znosi niezrozumiałe zjawiska przyrody, burzące psi porządek. Bari dobrze widział w ciemności, ale w obliczu błysku pioruna stawał się małym strachliwym szczeniakiem. Ale jeśli Daria się nie bała, choć przecież powinna, zebrał się na odwagę i podbiegł do niej. Zmęczone nóżki dziewczynki przypomniały sobie o forsownym marszu, a wiatrak jak na złość stał na wzgórzu. Widziała go wyraźnie. Szeroki od dołu, zwężał się ku górze. Na wiatraku osadzona była kopuła. Z jej środka sterczały cztery kikuty, które kiedyś były skrzydłami. Poruszały się w rytm nieregularnych podmuchów wiatru, to jęcząc, to trzeszcząc. Dawniej wiatrak musiał być pięknym, okazałym budynkiem. Daria przyglądała się zafascynowana, nie czując nawet, jak deszcz zalewa jej zwróconą ku górze twarzyczkę. Gdy ocknęła się z zamyślenia, zaczęła szukać wejścia. Naprzeciw niej była tylko płaska ściana ze zmurszałych desek. Postanowiła obejść wiatrak dookoła. Wejście było po przeciwnej stronie. Wysokie i strome schodki prowadziły do poruszających się z jękiem drzwi, które wisiały na jednym tylko zawiasie. Stała na pierwszym schodku, ale ten okazał się zbyt śliski. Szukając oparcia dla rąk, zobaczyła fragment drewnianej poręczy. Chwyła ją, ale ta była w jeszcze gorszym stanie niż schody. Poręcz pękła i Daria wylądowała na siedzeniu u podnóża schodów. Upadek złagodził Bari. Prawą ręką, machając w powietrzu, trafiła na czarne kudły. Nic się nie stało, ale dziewczynka usłyszała pisk wystraszonego, małego nietoperza.

– Już dobrze, nie bój się, jesteśmy bardzo blisko twojej mamy. – Uspokajała go szeptem.

– Tylko jak wdrapiemy się na te schody? – Pomyślała.

W podjęciu decyzji pomógł jej Bari, swobodnie wbiegając po schodach aż do samych drzwi. Bari używał czterech łap. Daria postanowiła go naśladować, wchodząc na czworakach. W ten sposób szybko dotarła do Bariego. Zajrzała do środka. A tam panowały ciemności. Szukając po omacku, dotarła do następnych schodków. Po wejściu na trzy stopnie znalazła się w większym od poprzedniego pomieszczeniu, do którego przenikała z góry niewielka ilość światła. Stała i zaczęła wyławiać szczegóły wnętrza. Odgłosy burzy były tu słabsze. Za to, wyraźniejsze były jęki pochodzące z wielkiego mechanizmu, sięgającego od szczytu kopuły do miejsca tuż przed Daria. Jej oczy i uszy skupiły się na wychwyceniu jakiegokolwiek śladu nietoperzy. Po to tutaj przecież przyszła.

– Hop, hop! – Zawołała dziewczynka, licząc na nawiązanie kontaktów z mieszkańcami wiatraka, jeśli takowi w ogóle tu byli. – Hop, hop! Czy jest tu ktoś? Mam na imię Daria.

Nagle ucho dziewczynki wyłowiło cichy szelest a po paru sekundach nad jej głową przemknął cień.

– Eli-Eli – Usłyszała głos dochodzący spod kopuły.

– Mamo, mam, tu jestem – Odezwał się mały nietoperz z kieszeni. Daria rozpięła płaszcz i wyjęła maleństwo, które miało na imię Eli-Eli.

Mama nietoperza musiała wyczuć jego obecność za pomocą fal, którymi porozumiewają się między sobą te niezwykle zwierzęta. Daria położyła małego Eli-Eli na dłoni i wyciągnęła rękę przed siebie. Szelest i cień nad głową powtórzyły się. Trwało to tylko część sekundy, ale wystarczyło. Wyciągnięta dłoń była pusta. Nietoperze latają bardzo szybko, a w nocy widzą tak jak ludzie w dzień. Mama Eli-Eli porwała swoje maleństwo i uniosła w otchłań kopuły wiatraka. Teraz najważniejsze dla niej i jej dziecka było, aby jak najszybciej nakarmić małego. Daria uśmiechnęła się do siebie, ale potem posmutniała. Nawet nie miała okazji popatrzeć na nietoperza, a czas nieubłaganie przypominał jej o odległości, jaka dzieliła ją do domu. Odwróciła się i skierowała do wyjścia. Dwa dźwięki – warczenie Bariego i szum nad głową – zatrzymały ją jednak.

– Cicho, Bari. Nietoperze to też nasi przyjaciele, przecież nie zrobią ci nic złego – Uspokajała pieska, sięgając jednocześnie ręką do kaptura. W tej chwili poczuła na rękę ciężar. Nietoperz usiadł na jej dłoni. Zbliżyła rękę do twarzy. Zwierzątko było dużo większe niż Eli-Eli. Jej oczy przyzwyczyły się do półmroku na tyle, że widziała dość wyraźnie kontur

nietoperza. Przypominał małego królika, ale jego uszy były krótsze i na końcu miały szpiczasty kształt. Wyraźnie świeciły mu wielkie oczy. Drogą dłonią Daria delikatnie pogłaskała go po futerku.

– Jaki jesteś śliczny – Powiedziała.

– Jestem przywódcą rodziny i tatą Eli-Eli, nazywam się Mel-le. Serdecznie dziękujemy ci za twoją odwagę i szlachetność. To niezwykle, że ty, mała dziewczynka, wybrałaś się w taką noc, aby ratować nietoperza.

– Eli-Eli był taki wystraszony i taki głodny, i taki rozpaczliwie smutny. Trzeba było coś zrobić, więc jestem. – Odpowiedziała Daria.

– Eli-Eli jest już ze swoją mamą i pije mleko. Na pewno uratowałaś mu życie.

– To dobrze, cieszę się, że tak to się skończyło. Ale ja... Muszę już iść Mel-le.

– Do następnego spotkania Dario. Pamiętaj, jeśli będziesz w niebezpieczeństwie albo zgubisz się w nocy, wystarczy, że zawołasz, a na pewno ci pomożemy. Nietoperze słyszą swoje imiona nawet z bardzo dużych odległości.

– Dziękuję. Bardzo się cieszę, że was poznałam. – Pogłaskała Mel-le na pożegnanie. Ten bezszelestnie zniknął z jej dłoni. Oczy Darii, przyzwyczajone do ciemności, odnalazły wyjście. Tak jak wchodziła, schodziła na czworakach.

Droga powrotna była dużo łatwiejsza, prowadziła w dół, a wiatr wiał w plecy. Kiedy wyszli z wysokiego lasu i zanurzyli się w trawy i paprocie, pojawiły się pierwsze jasne smugi światła. Zza horyzontu zbliżał się naturalny brzask ranka. Barowe Wzgórze przeszli prawie biegiem. Błyskawice od pewnego czasu nie pojawiały się. Burza traciła rozpęd. Bari prowadził ich tą samą drogą, jaką odbyli poprzednio, tylko w przeciwną stronę. Widok Czarnej Doliny w oddali uświadomił im, że są coraz bliżej domu, ale kiedy ukazał się rów, tym razem po brzegi wypełniony wodą, Daria zaniepokoiła się. Nie było miejsca, gdzie można by, bezpiecznie go przeskoczyć. Bari wybrał drogę wzdłuż strumienia i tak doszli do kępy olch.

– Jest pewna szansa. – Pomyślała dziewczynka, gdy dojrzała, że jedna z gałęzi olchy pochyła się nad rowem. Wspięła się na palce i objęła drzewo. Gałąź zatrzeszczała, ale wytrzymała obciążenie. Daria przesuwała dłonie wzdłuż gałęzi, a ta wyginała się coraz bardziej, aż w końcu pękła. Daria upadła. Na szczęście, po drugiej stronie rowu. Bari przepłynął

i dołączył do dziewczynki. Mijając Czarcią Dolinę dziecko przyśpieszyło. Do domu było już niedaleko. Przez Pola Rubakowe przebiegli i wpadli razem do bramy. Daria szarpała się z drzwiami, zanim je otworzyła i wpadła do środka. Zapominała, że miała nie hałasować. Dopiero po chwili przytknęła palec do ust, patrząc na Bariego. Nagle – o zgrozo! W pokoju rodziców zapaliło się światło. Drzwi pokoju otworzyły się i usłyszała kroki mamy na schodach. Daria, skrajnie wyczerpana, ale szczęśliwa, że cała przygoda skończyła się dobrze, nagle znalazła się w rozpaczliwej sytuacji. Co ma powiedzieć mamie? Nie zapaliła światła w korytarzu, ale i tak, trudno było nie dojrzeć efektów upadku czy przeprawy przez rów z wodą. Nie miała nawet siły, aby ruszyć się i cokolwiek powiedzieć.

– Dareńko, jak ty wyglądasz? Co robiłaś o tej porze na dworze?

Zabrakło jej odwagi nawet na to, aby spojrzeć na mamę. Wtedy poczuła ocierającego się o nią Bariego. Podniosła głowę.

– Bo wiesz, mammo... Bari chciał wyjść na dwór, aby zrobić siusiu, a ja nie miałam sumienia, żeby go do rana trzymać, wiesz, on tak dużo wczoraj pił. Wyszliśmy na podwórze i ja chciałam schować swoje zabawki, aby nie mokły na deszczu, bo je zostawiłam w piaskownicy i wtedy... No wiesz... Było tam ciemno i poślizgnęłam się na ławeczce, bo tam było tak ślisko, a potem poleciałam na krzewy i dlatego teraz tak wyglądam. Ale zaraz rozbiore się i umyję, a rano wypiorę ubranko. Nic się nie stało, tylko troszkę płaszczyk brudny, no i troszkę spodenki... Ale to nic.

– Och, Bari, Bari – mama przerwała Darii monolog – w taką noc wyciągasz Darię na dwór? Gdzie ty masz sumienie?

Bari wybaczył Darii to kłamstwo. Kochał ją przecież, a prawda na pewno przeraziłaby mamę.

Andrzej Rytelewski

II nagroda



Wyspa Cudowności

Na małej wyspie pośrodku wielkiego oceanu znajdowało się miasteczko niewielkich rozmiarów. Mieszkał w nim Filipek, wraz z rodzicami i dziadkami. Jego dom znajdował się przy samym brzegu, nieco na uboczu. Od miasteczka dzielił go las. Zza wysokich drzew widać było jedynie wieżę ratusza a na niej zegar z kukułką. Piękna okolica pozwalała rodzinie żyć spokojnie. Zarazem niewielka odległość od miasta sprawiała, że mogli w każdej chwili się do niego dostać, wybierając drogę przez las lub marszerując złotym brzegiem. Dzięki temu dziewięcioletek mógł każdego dnia punktualnie zjawiać się w szkole, a jego dziadek i tata w porcie po drugiej stronie wyspy, bo obaj byli rybakami. Mama Filipka pracowała w bibliotece. Przynosiła do domu książki i czytała synowi do snu. Czasami w weekendy, gdy biblioteka była zamknięta, wypływała z ojcem i mężem, aby pomagać im w połowie ryb. Była niezwykłą, silną kobietą. Babcia zajmowała się domem i potrafiła jak nikt na całym świecie zrobić najpyszniejsze naleśniki z dżemem truskawkowym! Była to szczęśliwa i kochająca się rodzina, która spędzała z sobą wiele czasu. Pewnego dnia stało się coś dziwnego. Dziadek Filipka nie wrócił na noc. Dziecko nie chciało iść spać, dopóki jak zwykle wieczorem nie rozegra z dziadkiem partyjki szachów. W końcu zmęczyło się i zasnęło. Kolejnego dnia, rano, chłopiec zapomniał o wszystkim, bo w szkole czekali na niego koledzy, z którymi po zajęciach chodził na plażę albo do lasu. Niestety, wieczorem dziadka dalej nie było. Sytuacja powtarzała się przez kolejne dni. Chłopiec zaczął się niepokoić i ciągle zadawał pytania. Któregoś wieczoru mama przyszła bez książki. Usiadła na brzegu łóżka, pogłaskała syna po głowie. Potargała gęste, czarne, włosy. Opowiedziała mu o dziadku, który wypłynął swoją łodzią daleko, daleko, gdzieś na drugą stronę oceanu. Za wielką wodą znajdowała się Wyspa Cudowności, na którą pewnego dnia wszyscy popłyną.

– Dlaczego dziadek nie zabrał mnie ze sobą? – Dopytywał się Filipek. Mama uśmiechnęła się smutno.

– Jeszcze nie czas, abyś tam popłynął, ale nadejdzie taki dzień, że wszyscy się tam spotkamy. Usiądziemy przy stole, w domu podobnym do naszego i już zawsze będziemy razem. – Tłumaczyła.

– Obiecaj, że gdy ty i tata popłyniecie na tę wyspę, weźmiecie mnie ze sobą. Obiecaj! – Nalegało dziecko. Mama nic nie odpowiedziała, tylko przytuliła synka. Poprosił ją wtedy, aby opowiedziała mu o wyspie, na którą popłynął dziadek. Opowiadała, więc o złotych plażach, kryształowej wodzie, zielonych lasach pełnych rozśpiewanego ptactwa i innej zwierzyny. Opowiadała o domu, w którym będą mieszkać i o tamtejszym miasteczku. Filippek słuchał chciwie słów matki, a przed oczami przesuwały mu się barwne obrazy. Nawet nie zauważył, kiedy stały się snem.

Aż pewnego dnia rodzice Filipka także zniknęli. Gdy nie wracali przez kilka kolejnych dni, chłopczyk zaczął podejrzewać, że oni także, podobnie jak dziadek, popłynęli na Wyspę Cudowności. Nie chciał w to wierzyć. Przecież nie zostawiliby go. Obiecali, że zabiorą go ze sobą. Niestety, babcia potwierdziła jego najgorsze przypuszczenia: rodzice wyjechali bez niego. Filippek płakał i krzyczał. Był rozgniewany. Przez kolejne dni w ogóle o nich nie wspominał. Przesiadывał naburmuszony w swoim pokoju i nie chciał nawet wychodzić z kolegami, aby popływać, czy pograć w piłkę. Stracił apetyt i stał się małowówny. Jednak czas płynął, a w miejsce gniewu i złości pojawiło się uczucie tęsknoty za rodzicami, które było silniejsze z każdym dniem. Nie poprawiło to apetytu Filipka, ale zmieniło jego zachowanie. Postanowił zbudować tratwę, dość mocną, aby móc przepłynąć na niej ocean w ślad za rodzicami i dziadkiem. Odtąd każdą wolną chwilę poświęcał na realizację swojego planu. Rozrysował schemat budowy tratwy, następnie zebrał potrzebne materiały. Gdy wydawało mu się, że ma wszystko, czego potrzebuje, zaczął budowę. Pomagali mu przyjaciele. Kiedy tratwa była gotowa, postanowili ją wypróbować. Rozpadła się zaledwie kilka metrów od brzegu. To zniechęciło przyjaciół Filipka, ale nie jego samego. Udoskonalił swój projekt. Raz jeszcze zebrał potrzebne materiały i ponownie spróbował. Było lepiej, ale tratwa przeciekała i nie było mowy o wypłynięciu nią na ocean. Poczynaniom wnuka przyglądała się babcia. Niepokoiła się tym bardziej, im lepszy był projekt Filipka. Podziwiała ambicję wnuka, ale wiedziała, że za wcześniej, aby wypływał w kierunku Wyspy Cudowności. Chcąc go powstrzymać, wpadła na pewien pomysł. Któreś niedzieli obudziła Filipka wcześniej rano

i poprosiła, aby poszedł z nią na spacer, po plaży. Podczas przechadzki Filipiek dostrzegł butelkę, którą fale musiały wyrzucić na brzeg. Okazało się, że w środku znajdował się list, który napisali jego rodzice. Chłopak nie posiadał się ze szczęścia. Mama z tatą serdecznie go pozdrawiali. Przepraszali, że wyjechali tak nagle i że nie zabrali, go ze sobą, ale musieli poczynić konieczne przygotowania przed jego przyjazdem. Dotąd nie pisali, bo byli bardzo zajęci, a ponadto trochę czasu zabrało im znalezienie sposobu na dostarczenie wiadomości. Teraz zachęcali go, aby każdego dnia wysyłał do nich list w butelce, a oni postarają się pisać tak często, jak będzie to możliwe. Napisali, że go kochają, i że nie mogą się doczekać jego przyjazdu, ale na razie musi uzbroić się w cierpliwość. Filipiek posłuchał rodziców. Odłożył plany budowy tratwy. Odtąd każdego dnia po wypełnieniu obowiązków, siadał do pisania listu. Podczas odpływu ciskał butelkę z listem do wody, licząc na to, że dotrze ona na Wyspę Cudowności. Tymczasem babcia poprosiła znajomego rybaka, aby wyląwiał listy wnuka i dostarczał jej, aby mogła odpowiadać na jego pytania. Wieczorami, gdy chłopiec kładł się do łóżka, zasiadała przy stole w kuchni i czytała listy. Filipiek wypytywał o wyspę. Uważał, że teraz, gdy mama była już na miejscu, powinna opisywać dokładnie każdy szczegół. Babcia musiała zadać sobie sporo trudu, aby zaspokoić wyobraźnię wnuka. W swoich listach opisywała cudowną wyspę, która nie różniła się tak znacznie od tej, na której mieszkali, a jednak drobne różnice sprawiały, że była ona wyjątkowa. Na przykład: z wielkiego ratuszowego zegara, o każdej pełnej godzinie, wyskakiwał kogut i piał. W tamtejszej szkole, podobnie jak w tej, były trzy sale lekcyjne, ale była bliżej brzegu. Przez to jedna z sal nazywana była przez uczniów „salą pływającą”. Ławki ustawiono na nadmuchiwanych pontonach, a biurko nauczyciela znajdowało się w łodzi. Najzabawniejsze było boisko. Jedna z bramek znajdowała się na lądzie a druga wystawała z wody. Podczas lekcji dzieci były dzielone przez nauczyciela na dwie grupy, z których jedna grała w piłkę nożną, a druga w piłkę wodną. Na gwizdek grupy wymieniały się. Powodowało to sporo zamieszania, ale było przy tym dużo śmiechu. Oczywiście tata z dziadkiem nadal pracowali, jako rybacy. A ryb w okolicach Wyspy było więcej, niż można było sobie wymarzyć. Pływały ciekawe i niespotykane nigdzie indziej, ryby śpiewające, które wieczorami wyskakiwały z wody i nuciły kołysanki dzieciom w miasteczku. Spotykało się złote rybki speł-

niające życzenia. Rybki tęczowe, pływały zawsze w licznych ławicach a tak szybko, że można było odnieść wrażenie jakby, ktoś w krystalicznie czystej wodzie malował tęczę. Mama niezmiennie pracowała w bibliotece, do której przychodziły dzieci, aby posłuchać czytanych przez nią bajek. Mogły słuchać bardzo długo, bo miała pomocnika - papugę. Piękny wielobarwny ptak nauczył się mówić i czytać. Wieczorem po pracy rodzice i dziadek przygotowywali dom na przyjazd babci oraz Filipka. Malowali ściany jego pokoju na piękny, zielony kolor. Tata składał dla niego specjalne, piętrowe łóżko, o którym zawsze marzył. Dziadek z zebranych bursztynów rzeźbił zupełnie wyjątkowy komplet szachów. Nocą babcia wymykała się na plażę i kładła butelkę z listem, aby następnego dnia rano, Filipiek mógł zaspokoić swoją ciekawość na temat niezwykłej wyspy. Aż pewnego dnia podupała na zdrowiu. Korespondencja przestała krążyć. Filipiek bardzo się martwił, bo stan babci z każdym dniem pogarszał się. Wreszcie babcia oznajmiła mu, że jako pierwsza wybiera się na Wyspę Cudowności.

- Być może tamtejsze powietrze będzie mi służyć. - Przekonywała. - Popłynę pierwsza, a gdy tylko wyzdrowieję, pomogę twoim rodzicom i dziadkowi w przygotowaniach. - Obiecywała, gdy wnuk zasmucił się, że nie może jechać z babcią.

- Filipku, naprawdę nie ma się, po co spieszyć. Wierz mi, nadejdzie czas, kiedy będziesz musiał popłynąć w stronę Wyspy i - wspomnisz moje słowa - wówczas będziesz się wahał. Nie będziesz pewny, czy chcesz tam trafić. Ale my będziemy tam na ciebie czekać i spotkamy się. Będzie znowu jak dawniej. Gdy przyjdzie na to czas.

Filip był już starszym chłopcem. Nie protestował i nie sprzeciwiał się woli babci. Nie zdziwił się też, gdy pewnego dnia po powrocie ze szkoły nie zastał babci w łóżku.

- Wyjechała. - Pomyślał. Czuł smutek i żal. Być może, także dlatego, że już od dawna nie otrzymał żadnego listu od swoich rodziców. Zastanawiał się, czy kiedy babcia dopłynie na miejsce, przyśle mu informację, że dotarła szczęśliwie. Czekał cierpliwie, każdego dnia dokładnie przeszkukując plażę. Niestety, nie doczekał się listu. Mijały kolejne lata. Filip czuł się samotny i to spowodowało, że wrócił do planu budowy tratwy. Przez lata nauki w szkole, a także dzięki licznym próbom, zyskał potrzebną wiedzę i umiejętności, aby zbudować tratwę, będącą w stanie przepłynąć

wielki, groźny ocean. Zakasał rękawy i wziął się do roboty. Pomagało mu kilku dobrych przyjaciół. Inni koledzy wyśmiewali ich starania.

– Patrzcie! – Wołali – Znow próbuje zbudować tratwę. Pojdzie na dno, jak wszystkie poprzednie.

Niektórzy kiwali z politowaniem głowami.

– Nawet, jeśli nie zatonie zaraz przy brzegu, to z pewnością nie uda mu się na niej przepłynąć przez ocean.

Jednak Filip nie przejmował się ich uwagami. Miał jasno wyznaczony cel i koncentrował się na tym, aby go osiągnąć. Kiedyś zmartwiłyby go docinki kolegów, ale teraz nie przejmował się ich opinią. Po paru tygodniach żmudnej pracy, budowa została ukończona. Tratwa pomyślnie przeszła przybrzeżne próby. Nadszedł czas na wielką podróż, pełną przygód, ale także niebezpieczeństw. Filip wziął ze sobą kilka pamiątek z domu, które - w co wierzył - pomogą mu przetrwać trudny rejs. Zabrał nóż dziadka, którym oczyszczał złowione ryby. Wędkę ojca, którą uczył się łowić. Ulubioną książkę mamy, aby zaglądać do niej, gdy będzie mu naprawdę ciężko na duchu. Wziął także pióro, kałamarz i papeterię babci, aby w razie potrzeby móc wysłać list. Gdy te i inne rzeczy zaniósł na tratwę, czekała go miła niespodzianka. Przyjaciele przynieśli jedzenie i inne przydatne rzeczy. Syn piekarza przyniósł mu bochenki chleba a syn mleczarza butelki mleka. Syn krawca, zaś, szerokie płótno na żagiel. Pojawiło się także kilku innych życzliwych ludzi z miasteczka, którzy wręczyli mu prezenty, mogące przydać się w podróży. Filip podziękował za nie serdecznie. Przypomniawszy sobie słowa babci, że gdy nadejdzie pora opuszczać wyspę, na której spędził dzieciństwo, zawahał się. Jednak przygoda wzywała. Gdzieś tam, po drugiej stronie oceanu, najbliższe mu osoby trzymały kciuki za powodzenie jego wyprawy. Dlatego Filip pożegnał się i wyruszył. Gdy już dostatecznie oddalił się od brzegu, rozpiął żagiel i popłynął w kierunku nieznanego. Długo moglibyśmy opowiadać przygody śmiałka. Jak zmagał się ze sztormami i jak omijał wiry wodne. Jakie dziwne widział i jakie historie słyszał w podróży. Każdy dzień przynosił coś nowego. Niekiedy przytrafiało mu się coś wspaniałego, innym razem zmagał się z pechem i wątpił w powodzenie przedsięwzięcia. Na szczęście miał przy sobie tych kilka pamiątek, które zabrał ze swojej wyspy. One pomagały mu płynąć ciągle przed siebie. Pytał mieszkańców odwiedzanych łądów i wysp o swoich rodziców i dziadków, ale nikt

o nich nie słyshał. Wielu natomiast słyshało o Wyspie Cudowności i starało się wskazać chłopcu drogę. Mimo to podróż dłużyła się, a upragniony cel podróży wydawał się wciąż znajdować po drugiej stronie oceanu. Pewnego razu, fale zniosły tratwę Filipa w pobliże wyspy, która wydawała się bezludna. Chłopiec wpłynął do zatoki i jego oczom ukazał się niezwykle widok. Setki butelek unosiły się na wodzie. W nich znajdowały się listy. I choć to nieładnie czytać cudzą korespondencję, Filip postanowił sprawdzić, kto jest nadawcą, a kto adresatem wiadomości, które nigdy nie spełniły swojego zadania. Listy pisała dziewczynka imieniem Dorotka. Adresowała je do swoich rodziców. Prosiła o szybki powrót. Pisała o tęsknocie i miłości. W jednej z butelek Filip znalazł nawet mapę, zatytułowaną: „na wypadek, gdybyście zgubili drogę”. Wskazywała jak dopłynąć na wyspę, na której mieszkała Dorotka. Filip postanowił odwiedzić ją po drodze i powiadomić, że jej listy nigdy nie dotarły do rodziców. Oczywiście mogło się okazać, że rodzice szczęśliwie wrócili już z podróży i są wraz z córką, albo ona postanowiła wypłynąć na poszukiwanie rodziny. Mimo wszystko postanowił, że popłynie i odwiedzi dziewczynkę z listów. Gdy już dotarł do jej wyspy, zapytał o nią pierwszego napotkanego mieszkańca.

– Dorota? Pracuje w miejscowej bibliotece. O, tam. – Wskazał drogę.

W bibliotece Filip spotkał piękną dziewczynę. Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa, ani oderwać oczu od bibliotekarki.

– Dzień dobry – Zaczęła ona, widząc, że nieznajomy stoi jak słup soli.

– Dzień dobry – Zdołał opanować się chłopak. Następnie przedstawił się i upewnił, że dziewczyna była tą, której szukał. Przypomnił sobie jej listy, pełne ciepła. Pomyślał, że dziewczyna nie tylko posiada niezwykle urodę, ale i piękną duszę. Zakochał się. Opowiedział Dorocie o zatoce i listach, które w niej utknęły oraz swoją historię. Jak wysyłał listy do rodziców i jak odpisywali mu z Wyspy Cudowności. Jak odeszła babcia, korespondencja urwała się a on został zupełnie sam. Jak wypłynął na zbudowanej przez siebie tratwie, aby dostać się na drugą stronę globu, odnaleźć rodzinę i już na zawsze być z nimi. Wreszcie zaproponował, że mogą popłynąć razem i odszukać, także jej rodziców. Potem mogą wszyscy razem, zamieszkać na najcudowniejszej z wysp. Jakież było zdziwienie Filipa, gdy Dorota powiedziała mu, że zna drogę do celu i chętnie mu ją wskaże. Jednak najpierw musi uporządkować swoje sprawy w miejscu zamieszkania.

- Niedobrze jest pozostawiać za sobą bałagan. - Tłumaczyła. - Jest sporo spraw, które muszę załatwić nim wyjadę. Jest wielu życzliwych ludzi, z którymi chciałabym jeszcze porozmawiać. Mam też kilka marzeń związanych z tą wyspą, które chciałabym zrealizować, aby z czystym sumieniem udać się na Wyspę Cudowności. Jeśli mi pomożesz, być może uda mi się, wszystko dopiąć na ostatni guzik przed podróżą.

Filip zgodził się. Pomagał Dorocie w bibliotece, a także w domu. Uporządkował mały ogródek, a po pewnym czasie postanowił zatrudnić się w tutejszym porcie. Spodobało mu się na wyspie, u boku Doroty. Postanowili pobrać się, cieszyć się swoim towarzystwem i dzielić obowiązkami. Niebawem urodził im się syn, a później córka. Dali im tyle miłości, ile kiedyś sami otrzymali od swoich rodziców. Lata upływały w rodzinnym szczęściu. I choć Filip nie pływał już, przekonał się, że życie na wyspie, wśród bliskich, także może być wspaniałe. A każdy dzień przynosił coś nowego i niezwykłego. Gdy dzieci Filipa i Doroty były już dorosłe, a oni sami osiągnęli sędziwy wiek, nadeszła odpowiednia pora, aby wyruszyć w podróż na Wyspę Cudowności. Teraz wydawała się ona znajdować bliżej. Tak jak obiecali sobie podczas pierwszego spotkania, w podróż wyruszyli razem. Nim odpłynęli, postanowili napisać list i włożyć go do butelki. List do syna i córki. Przekazali im kilka dobrych rad: jak być radosnym, mieć zawsze przyjaciół, dzielić się miłością i żyć szczęśliwie. I jak we właściwej chwili wyruszyć na Wyspę Cudowności.

Halina Książek
III nagroda



Domek Karola

Był piękny czerwcowy dzień i ostatni dzień szkoły. Karol wyszedł jak wszyscy na boisko ze świadectwem w ręku. Miał dobre stopnie, ale wcale nie okazywał zadowolenia. Jego koledzy skakali z radości, wymachując cenzurkami i chwając się gdzie tym razem spędzą wakacje, a on stał ponury z boku. Piotrek wybierał się z rodzicami na Cypr, Filip nad morze, a Max na wędrownkę z tatą po górach.

– No, Karol, co ty dziś taki nijaki?

– Nie mam się z czego cieszyć. – Odpowiedział ponuro.

– Jak to nie masz? Ostatni dzień szkoły, dwie klasy podstawówki mamy za sobą, masz super świadectwo no i wakacje przed nami – Zdziwił się Janek, najlepszy przyjaciel Karola.

– Właśnie, wakacje! Wszyscy gdzieś jada, a ja tylko na działkę. – Marsowa mina nie schodziła z jego twarzy.

– No, co ty, przecież lubisz działkę babci. Zawsze tak mówiłeś.

– Lubię, ale nie na całe wakacje.

Na początku roku urodziła się Karolowi siostrzyczka, Majka. Nie, żeby miał coś przeciwko niej. Nawet ją lubił, a ona jego chyba jeszcze bardziej. Gdy Karol był w pobliżu od razu przestawała płakać. Nawet fajna była, chociaż mała. Tylko, że ze względu na Majkę rodzice nie mogli nigdzie wyjechać w te wakacje, była jeszcze za mała na podróż. Całą rodziną ustalili, że oni zostaną w domu, a Karol spędzi wakacje z babcią Kasią, mamą taty, na jej działce. Karol się zgodził, nie mógł inaczej. To nie wina Majki, że jest taka mała. Babcia też była fajna, tylko, co on tam będzie robił przez dwa miesiące?

Tydzień później, w sobotę, mama nie czuła się dobrze, więc tylko z tatą pojechali na działkę. Rozpakowali rzeczy i zjedli wspaniałą babciny obiad.

– Jedzenie to będzie super w te wakacje – ta myśl poprawiła mu trochę humor.

– Co robiłeś w Warszawie przez ten tydzień Karolku – zapytała babcia Kasia.

- Chodziliśmy z mamą do Toalet, karmiliśmy wiewiórki i kaczki, a ja próbowałem gadać z pawiami. Tam na Euro zrobili taką aleję z kolorowymi chińskimi lampionami i postaciami.

- Chyba chodziliście do Łazienek? - Po chwili zdziwienia zapytał tato.

- No tak, chyba do Łazienek, a co to za różnica?

- Taka, że Łazienki Królewskie w Warszawie to nie toalety. To bardzo stary zespół parkowo-pałacowy, w którym pod koniec XVII wieku Stanisław Lubomirski wybudował Łażnię, tam gdzie teraz jest Pałac na Wodzie i stąd nazwa Łazienki. To duma i ulubione miejsce spacerów Warszawiaków, nasze też.

- Oj tato, po co ta lekcja, szkoła się skończyła.

- Myślałem, że chcesz wiedzieć, zawsze zadajesz tyle pytań.

- Są wakacje. Nawet takie, to wakacje - Odpowiedział Karol zapatrzony w dal.

Po deserze babcia i tato zaproponowali spacer po działce. Ta działka była trochę dziwna. Wąska, ze wszystkimi zabudowaniami na początku w pobliżu bramy, a potem różne krzewy i drzewa samosiejki, z małą rzeczką na końcu. Karol szedł obojętnie, ale coś dziwnego mignęło mu między drzewami. Kiedy ominęli wielką brzozę z długimi zwisającymi gałązkami, oczom wszystkich ukazał się widok jak z bajki. Na brązowych palach wbitych w ziemię stał domek z pomalowanych na zielono desek z ażurowym gankiem. Prowadziły do niego trzy drewniane stopnie. Zielone okiennice i drzwi były otwarte. Przed oknem wisiała skrzynka z czerwonymi pelargoniami. Wzrok Karola przyciągnęła wisząca na ganku drewniana tabliczka z napisem „Karol”. Dostępu bronił zawieszony łańcuch. Po chwilowym osłupieniu Karol ruszył biegiem. Wpadł do środka, otwierał i zamykał co się dało, a potem położył się w środku i z zachwytem stwierdził, że zmieścił się cały.

- To naprawdę mój własny dom? - Zapytał z przejęciem.

- Tak, zbudowaliśmy go razem z babcią. Jest twój, ale tylko w wakacje - Wołał upewnić się tato.

- Czy w dalszym ciągu uważasz, że to będą nudne wakacje? - Spytał widząc radość syna.

- Może nie. To cześć tato, nie mam czasu. Muszę znaleźć Wojtka i Stefka. Dzięki tato - Zawołał i już go nie było.

Następnego dnia babcia nie mogła się nadziwić, że Karol wstał tak wczes-

śnie. Szybko zjadł śniadanie i już pędził do furtki, żeby wypuścić kolegów.

– Co ty dziś taki radosny?

– Bo ja pryskam energią babciu - Karolowi często zdarzało się przeinaczać słowa.

Była niedziela, wszyscy na wsi mieli wolne i koledzy chętnie przyszli do Karola. Stali i podziwiali jego dom.

– Przychodziliśmy popatrzeć jak twój tata budował, ale widzieliśmy tylko tył – Powiedział Wojtek.

– Ale jest fajny. – Wszyscy westchnęli jednocześnie.

– Moja babcia przygotowała drewniane tabliczki. Możemy napisać, co chcemy i powiesić na domku. Tu są mazaki, co wy na to? Dzisiejszy dzień spędzimy na wypisywaniu tych tabliczek.

Wszyscy się zgodzili i szybko wzięli się do pracy. Od czasu do czasu robili przerwę i wchodzili do domku na odpoczynek. Te chwile podobały im się najbardziej. Tak powstały tabliczki: POLICJA, SKLEP, STRARŻ (nie byli pewni, jak się pisze i zostawili do wyboru) i projekty dalszych zabaw. Koledzy Karola musieli pomagać w gospodarstwie i nie zawsze mogli spędzać z nim czas. Wtedy sam siedział domku. Z podarowanego przez babcie taboretu zrobił stół i układał puzzle, rozwiązywał rebusy, czytał książeczki albo brał kartkę i rysował swój wspianały dom. Całkiem zapomniał, że kawałek dalej rośnie drzewo, w którym tato skrócił kilka dolnych gałęzi tak, żeby Karol mógł się wspinać i posiedzieć na nich jak na ławce. Warunek był taki, że przed wejściem na drzewo miał uprzedzić babcie o swoim zamiarze. Wtedy ona częściej zaglądała sprawdzić, co u niego słychać. Teraz wszedł, na najwyższej dostępnej dla niego gałęzi. Rozejrzał się i zdziwiony ujrzał w rogu bociana, a na skraju przy nagietkach zajączka. Zobaczył machającą do niego babcie. Też jej pomachał. Tego dnia koledzy przyszli w komplecie i wspólnie podjęli decyzję. Dziś zawiśnie tabliczka POLICJA. Sprytny Stefek sam zgłosił się na przestępcę. Nie wiedzieli, dlaczego. Ukrył się za krzakami, ale szybko go znaleźli i aresztowali, a aresztanta zamknęli w komisariacie. Wtedy zrozumieli. Rozłożył się wygodnie w domku, a oni: komendant i sierżant zostali na zewnątrz. Pokręcili się trochę w kółko i w końcu urządzili, że nie ma wystarczających dowodów i trzeba wypuścić zatrzymanego. Teraz już wszyscy wchodzili i wychodzili, udawali, że są detektywami

i pracują w prawdziwym komisariacie. Zabawa trwała w najlepsze. W gorący lipcowy dzień, kiedy w telewizji mówili o pożarach, przyszła kolej na zabawę w Straż Pożarną. Karol po cichu przed babcią podciągnął do domku gumowy wąż do podlewania. Całe szczęście, że zamknęli okno i drzwi. Polewali domek na zmianę, z różnych odległości, tworząc nad nim wodny parasol i ratując go od wymyślnego pożaru. Niby przypadkiem, wpadali pod wodny parasol i byli cali mokrzy. Słońce mocno grzało i szybko ich osuszyło. Bawili się wspaniale. Niestety, gorzej było z domkiem. Woda wylewała się strumieniami, a wszystko, co znajdowało się w środku, było mokre. Z obrazków namalowanych przez Karola spływały kolorowe smugi. Trochę go to zasmuciło. Porządkowanie też należy do strażaków. Powynosili wszystkie rzeczy i poukładali na trawie, daleko od oczu babci, żeby słońce je wysuszyło. Karol zwinął wąż, cichaczem odłożył go na miejsce i postanowił, że w straż nie będą się już więcej bawić. Zabawa w sklep była lepsza. Oczywiście sklep z narzędziami, taki dla mężczyzn. Babcia dała im dużo różnych narzędzi: młotki, obcęgi, miarki. Trochę zastanawiała się nad gwoździami, ale widząc błagalne spojrzenie Karola, dorzuciła je też. Najfajniejsze były stare stolarskie ołówki pradziadka. Płaskie, z szerokim grafitem, można nimi było pisać na drewnie. Było jeszcze pełno różnych zatyczek, uszczerek, śrubek, a Karol dołożył też zabawkowe narzędzia z plastiku, „z wczesnego dzieciństwa” - jak mówił. Z pozostałych deseczek zrobili półki i poustawiali swoje „towary”. Pozostała kwestia pieniędzy. Drobne kamyki ze ścieżki stały się bilonem.

- Możemy porwać kartki i napisać cyfry. - zaproponował Wojtek.

- Po co? Nie lepiej, pozrywać liście z drzew. To proste? - Stefek wolał łatwe rozwiązania.

- Mama i babcia mówią, że nie zrywa się niepotrzebnie liści z drzew. To je boli. - zaprotestował Karol.

- Głupie babskie gadanie. No dobra to piszmy te cyfry.

Potem już było wesoło. Zmieniali się, bo każdy chciał być sprzedawcą. Wychylali się przez okno i pytali:

- Dzień dobry panu. Co dla pana, proszę pana?

Gdy klient Stefek zamówił siekiere napotkał zdziwione spojrzenie i otrzymał odpowiedź:

- U nas nie ma ostrych przedmiotów. Tu jest porządny sklep z prezy, precy..., no z instrumentnymi narzędziami. - powiedział Karol, specjali-

sta od trudnych słów. Postanowili zbierać różne rzeczy i jeszcze kiedyś pobawić się w sklep. Ta zabawa stała się ich ulubioną. Powtarzali ją wiele razy. Co dwa tygodnie, na cały weekend, przyjeżdżali rodzice z Majką. Karol podjeżdżał wózkiem z siostrą do samego domku i opowiadał o nim Majce. Ona jednak nie wykazywała żadnego zainteresowania domkiem, ale wpatrywała się z uwielbieniem w starszego brata. Podobała mu się ta rola. Na to, żeby razem pobyli trochę w domu, rodzice nie wyrażali zgody. Chodzili też, z tatą, na koniec działki. Tata otwierał furtkę i siedzieli sobie na pomoście nad rzeczka. Rozmawiali, udawali, że łowią ryby i obserwowali pływające kaczki. Było fajnie. Koniec lipca był pochmurny i często padało. Wtedy chłopcy nie musieli pomagać i częściej wpadali do Karola. Babcia dorzuciła jeszcze dwie poduszki. Mogli leżeć i opowiadać sobie różne historie. Po dwóch dniach trochę im się znudziło i przenieśli się do domu.

– Babciu poczytaj nam coś.

– Teraz nie mogę, smażyć placki kartoflane. Na pewno chętnie zjecie. Sami poczytajcie, przecież umiecie.

– No umiemy, ale to takie dziecinne książki. Poczytaj nam coś dorosłego.

– No dobrze jak skończę smażyć, coś wam poczytam. A teraz szybko umyć ręce, zaraz będziecie mogli jeść.

Lubili myć ręce. Na ławce przy altance stał duży baniak z kranikiem, a obok mydło w płynie. Trzeba było tylko odkręcić kranik. Woda spadała na ziemię i podlewała trawę. Babcia zastanawiała się, co wybrać i doszła do wniosku, że na taką nudną pogodę „Podróże Guliwera” będą odpowiednie. Wprawdzie autor, pan Swift, napisał tę książkę dla dorosłych, ale z czasem stała się ona ulubioną książką czytelników w różnym wieku. Chłopcy pałaszowali placki i nadstawiali uszu, żeby nie uronić żadnego słowa. Babcia czytała o angielskim chłopcu, który na początku nie garnał się do nauki, miło spędzając czas wśród pól i lasów. Potem rozumiał więcej i więcej chciał wiedzieć. Został dobrym lekarzem i żeglarzem. Kolejna długa podróż, w którą wyruszył na morza południowe, na pokładzie statku „Antylopa”, okazała się tragiczna. Po wielu sztormach statek rozbił się o skały na wyspie i jedyną osobą, która nie zginęła był Guliwer. Długie godziny, a może i dni, leżał bez życia na plaży. Znalazły go tam małe ludziki mówiące niezrozumiałym językiem. Z zachowania

podobne do ludzi, a z wyglądu do małych ołowianych żołnierzyków. Chłopcy słuchali zafascynowani i zaglądali babci przez ramię, żeby zobaczyć ilustracje. Byli bardzo zawiedzeni, gdy babcia, w najciekawszym momencie przerwała czytanie.

– Na dzisiaj wystarczy. Myślę, że dalej poczytacie sobie sami.

– Ale to taka duża książka, nie damy rady – protestowali chórem.

– Jak przeczytacie do końca o krainie Liliputów, to drugą część znów wam poczytam w deszczowy dzień.

Długo jeszcze potem rozmawiali. Każdy z nich inaczej wyobrażał sobie dalsze przygody Guliwera i nie mogli się doczekać, kiedy je poznają, zwłaszcza, że babcia zdradziła im, że druga część książki dzieje się w krainie olbrzymów.

Po żniwach Wojtek przyszedł do Karola z koleżanką.

– To Zuzia, moja sąsiadka. Dziś będziemy bawić się w dom. Ona będzie moją żoną. – Oznajmił zadowolony ze swojego pomysłu.

– No, Zuzia, posprzątaj dom, a potem ugotuj nam obiad – Dodał władczo.

– Jak to posprzątaj. A gdzie są inne żony? Mówiłeś, że będą.

– Mówiłem, mówiłem, ale nie ma.

– Nie wiedzieliśmy o tej zabawie. – Zdziwił się Karol.

– To ja się nie bawię. I nic nie będę sprzątać. Teraz jest równo, równo.. równoprawie, no wiecie, wszyscy mogą robić to samo. Nie będę służącą, idę sobie. – Po tym monologu obróciła się na pięcie i ruszyła do furtki. Stefek i Karol trzymali się za brzuchy i rechotali jak żaby.

– Ale ci się żona trafiła. W dalszym ciągu chcesz się bawić w rodzinę?

– Nigdy w życiu się nie ożenię – Wojtek aż tupnął nogą, żeby podkreślić swoją decyzję.

Chłopcy solidarnie objęli się popierając decyzję Wojtka. Początek sierpnia, to najlepszy czas dla Karola. Wtedy przypadają jego urodziny. Postanowił zmienić domek w restaurację i zaprosić kolegów. Babcia przygotowała tort, owoce i inne smakołyki. Talerzyki i kubki papierowe, a z okazji urodzin sok pomarańczowy i nawet Coca-Colę, na picie, której rzadko dostawał pozwolenie od rodziców. Pomogła wszystko zanieść Karolowi i stanęła zdumiona, widząc napis BAR.

– A cóż to za bar, miała być przecież elegancka restauracja?

– Oj babciu. To strasznie długi wyraz. Bar, to też bardzo dobre jedzenie.

Karolek przewiesił sobie ściereczkę przez rękę i obsługiwał kolegów jak prawdziwy kelner. Ciągłe rozlewał napoje, nakładał ciasta i cukierki. Wojtek przyniósł mu w prezencie wyrzeźbiony przez siebie w drewnie samochód wyścigowy.

– Tata pomógł mi go zrobić. Niestety nie zdążyłem go pomalować.

– Nie szkodzi, sam chętnie to zrobię, gdy wy nie będziecie mogli do mnie przyjść.

Stefek trzymał przed sobą duże plastikowe pudełko.

– Ja mam dla ciebie maliny. Sam dziś od rana zbierałem.

Do poczęstunku dołożyli jeszcze prezent od Stefana i objadali się świeżymi, pachnącymi owocami.

– Myślę, że nawet w prawdziwej restauracji nie ma takich pyszności – Orzekł Wojtek, cały czas coś przeżuając.

Z okazji urodzin Karola przyjechali rodzice mamy: babcia Zosia i dziadek Zygmunt. Babcie zaraz znalazły wspólny temat, a dziadek dał się porwać Karolowi. Tak jak on, zachwycił się domkiem i zaraz postanowił do niego zajrzeć. Dziadek Zygmunt jest bardzo wysoki, więc gdy się wczołgał do środka, zmieścił się tylko w połowie. Nogi wystawały mu poza ganek, a jedną rękę wystawił przez okno.

– Całkiem tu wygodnie. – Podsumował i położył sobie poduszkę pod głowę.

– Oj dziadku, ale ekstra, zostań tak. Będiesz Guliwerem, uwięzionym w starej świątyni dobrze? Możemy cię przywiązać?

– Nigdzie się nie wybieram, róbcie, co chcecie.

Dziadek już zamykał oczy, zadowolony z nadarzającej się okazji do drzemki. Karol najszybciej jak umiał pobiegł po kolegów.

– Wojtek, Stefek, chodźcie szybko, mamy Guliwera.

Nie bardzo rozumieli, o co mu chodzi, ale chętnie pobiegli, dawno już nie byli w domku. Po drodze Karol wyprosił u babci kilka kłębków wełny. Chłopcy stanęli zdumieni.

– O raju, to naprawdę Guliwer. Naprawdę możemy go przywiązać?

– Tak to mój dziadek Zygmunt. Zgodził się.

Szybko wzięli się do roboty. Wojtek i Stefek delikatnie omotali nogi dziadka wełną. Za pomocą gwoździ przymocowali nitki do ziemi. Karolek zajął się ręką.

– Hrrrrr..., hrrrrr..., hrrrrr – Rozległo się z domku.

– Dziadku, no co ty, jesteś uwięziony. Powinieneś się bać, a nie chrapać.
– Ja zawsze chrapię jak się boję. – Powiedział dziadek z otwartym jednym okiem, które znów zaraz zamknął i spał dalej.

Chłopcy zrobili z gałązek i wełny łuki i udawali, że strzelają. Potem usiedli na trawie, obserwowali swojego Guliwera i przypominali sobie, co Liliputy robiły jeszcze ze wielkoludem. Nie odważyli się chodzić po dziadku i go karmić. Karol wiedział, że dziadek Zygmunt jest na diecie.

– Hekinach degul – Zagadali do dziadka jak mali ludzie w książce.

Dziadek nie odpowiedział. Tak samo jak Guliwer nie rozumiał, co mówią, a może i nie słyszał. Chłopcom bardzo podobała się dziwna mowa małych ludzików. Dzięki temu, że Guliwer tak szybko nauczył się języka Liliputów mógł się z nimi porozumieć. Pamiętali, że quinbus flestrin znaczy człowiek góra, czyli Guliwer. Potem usiedli w kręgu na trawie i powtarzali słowa przysięgi na wieczny pokój i przyjaźń, którą musiał złożyć Guliwer. „lumos kelmin pesso desmar lon emoso”. Z tej przysięgi najbardziej podobały im się gesty, które w trakcie wypowiedzania należało wykonać. Lewą ręką trzeba było trzymać prawą nogę, środkowy palec prawej ręki przyłożyć do czoła, a kciuk do prawego ucha. Te wygibasy zawsze doprowadzały do śmiechu. Z ochotą przewracali się i robili dużo hałasu, a Guliwer – dziadek, spał niewzruszony. Po tej zabawie postanowili przy najbliższej okazji przeczytać przygody Guliwera w krainie Liliputów do końca. Jak zwykle ułożyli się w domu z poduszkami pod głową i czytali po kolei. Każdy jeden rozdział. Czytali o pomysłach małych ludzików, o małych zwierzętach, roślinach i drzewach. Wszystko mieściło się w kieszeni kaftana Guliwera. Najbardziej podobało im się jak małe krawcowe brały miarę, żeby uszyć dla Guliwera nowy kaftan. Zmierzyły tylko jego duży palec. Na pytanie Guliwera odpowiedziały, że to wystarczy, bo podwójna długość wielkiego palca jest miarą grubości ręki w kostce, podwójna miara w kostce jest grubością w ramieniu, a podwójna grubość ramienia jest grubością szyi. Chłopcy natychmiast wyprosilili od babci kawałek sznurka i sprawdzali czy to prawda. Mieli szczęście, że dokończyli czytać pierwszą część książki. Znowu padało od samego rana i babcia Kasia zgodziła się przeczytać im drugą część. Tym razem usmażyła placuszki z cukinii. Mimo, że rzucili się na nie zgłodniałi nie uronili ani słowa z dalszych przygód Guliwera. Tym razem Guliwer wybrał się na statku „Motyl” do Indii Wschodnich. Gdy statek pokonał już

dużą część podróży trafił im się jeden bardzo spokojny dzień, a po nim czternastodniowa burza. Rzuciło statkiem na wszystkie strony, szkwał porwał busołę i nie wiedzieli, dokąd płyną. Po jakimś czasie zobaczyli wyspę. Majtkowie i Guliwer wyruszyli szalupą w poszukiwaniu wody. Rozeszli się w różnych kierunkach. Guliwer nic nie znalazł, tylko przedzierał się przez jakieś wysokie zarośla, które potem okazały się zwykłą trawą. Nic nie znalazł, zawrócił, więc w stronę plaży, a wtedy zobaczył ich szalupę szybko zmierzającą w kierunku statku i olbrzymów. Tak znalazł się, w Brobdignag, w kraju olbrzymów. Schwytali go i pokazywali, jako dziwo na jarmarkach. Trafili się też życzliwi olbrzymi. Pewna dziewczynka udostępniła mu kołyskę swojej lalki do spania. Ona też zaczęła go uczyć ich języka. Potem zbudowali mu specjalny domek. Guliwer chętnie uczył się języka olbrzymów i dzięki temu mógł opowiadać o swoim kraju i dawać dowody inteligencji. Ta dziewczynka, którą nazwał Glumdalklitsz, czyli mateczka, nosiła jego domek przypięty do paska. Babcia jak zwykle przerwała w bardzo ciekawym miejscu. Trochę pomarudzili, ale już mieli nowy pomysł na zabawę. Pradziadek Karola, który był stolarzem zrobił kiedyś wspaniałą domek dla ptaszków, prawie miniaturę domku Karola. Ponieważ stał wysoko na palu, nikt nie sypał tam jedzenia i karmnik był pusty. Ublągali babcię, żeby mogli go zdjąć. Nawet im pomogła. Warunek był jeden, mieli porządnie wyszorować domek. Potem trzeba było przymocować jakieś sznurki, żeby można było go nosić. Ale skąd wziąć Guliwera. Po dłuższej naradzie postanowili odwiedzić Zuzię. Jednak bez kobiet nie da rady. Przygotowując się do tego spotkania, spisali z książki komplementy, jakimi Guliwer obsypał królową: anielska dobroć, ozdoba świata, klejnot natury, kwiat całego stworzenia. Może nimi przekonają Zuzię.

– Zuzia, pożycz nam lalkę, chcemy pobawić się w Guliwera. Ty też możesz się z nami pobawić, jeśli chcesz.

– No dobrze tylko nie zniszczcie. – Zuzia pobiegła do domu, zadowolona, że jednak jej potrzebują.

Chłopcy odetchnęli, że nie muszą gadać tych dziwnych wyrazów, żeby ją przekonać. Zuzia wróciła z Barbie w długiej balowej sukni i koronie.

– No coś ty. My potrzebujemy mężczyzny. Nie masz Kena?

– Gdzieś mam, muszę poszukać.

Po dłuższej chwili wyniosła lalkę, tylko w spodniach, bez żadnych dodatkowych upięknień.

- Dawno się nim nie bawiłam, nie wiem, gdzie są jego ubrania. Jak chcecie, możecie go sobie zabrać.

Chłopcy wrócili na działkę. Po drodze omawiali, co teraz muszą zrobić. Dla Kena, teraz już Guliwera, z chustki do nosa zrobili pelerynę, a z kartki papieru Wojtek zrobił napoleońską czapkę. Mazakiem wymalowali mu zakręcone wąsy i brodę. Wyłożyli domek ręcznikiem. Przez okna przetrzucili gruby sznurek i zawiązali w pętlę. W tę pętlę włożyli grubą gałąź i we dwóch mogli nosić swojego Guliwera, przez olbrzymów zwanego Grildrig, czyli Paluszek. Teraz oni byli olbrzymami i obnosili domek po działce. Postanowili chwalić się umiejętnościami Paluszka, pozwolić podziwiać go innym, ale traktować go bardzo łagodnie. Pierwszy pokaz zrobili dla babci. Koniec lata to czas, kiedy na wsi jest bardzo dużo pracy. Orka, wykopki, robienie zapasów i przygotowywanie gospodarstwa na zimę. Stefek i Wojtek musieli pomagać. Karol siadywał w swoim domku i obserwował przyrodę. Patrzył na wędrujące pająki i skaczące z kwiatka na kwiatek motylki i świerszcze. Jeż tuptał koło murku, nie znajdując drogi do swojego domu. Liście na drzewach zmieniały kolory, niektóre wolniutko spadały. Kwiaty przekwitwały, zostały na nich ostatnie pojedyncze płatki. Przerzedzone pelargonie w skrzynce pod oknem smętnie zwisały, za to w trawie pojawiły się grzyby. Gdy na działce skończyły się porzeczkki i wiśnie szpaki poleciały gdzie indziej. Teraz oprócz różnych kolorowych ptaszków i dzięcioła pojawiły się wiewiórki. Czują się jak u siebie w domu. Babcia Kasia miała dwa wielkie, stare drzewa orzechowe, a one uważały, że to ich własność. Wdrapywały się na orzechy w błyskawicznym tempie. Niekiedy goniły się, jakby bawiły się w berka. Zawsze wracały z zielonym orzechem w pyszczku, który wynosiły do swojej kryjówki i wracały po następny. Gdy do nich wołał, stawały na tylnych łapkach, przednie zginały, puszystą kitę wywijają jak rogal i patrzyły na niego zdziwione.

- O co chodzi, przecież jesteśmy u siebie - Myślały z pewnością.

Jedna z wiewiórek wzbudziła jego zdumienie. Zerwała dwa orzechy bliźniaki i trzymała w pyszczku ich ogonek, a orzechy przy policzkach. Wyglądała zupełnie jak chomik z wypchanymi policzkami.

- W Toalet..., No w Łazienkach nie były takie zabawne. - Pomyślał Karol bardzo ubawiony.

Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Tak samo szybko końca dobie-

gły wakacje. Karol postanowił wydać przyjęcie pożegnalne. Na ganku znów zawisnął napis BAR, a na taborecie pojawiły się papierowe talerze i kubki. Nie było tortu, bo nie było, co świętować. Chłopcy próbowali się śmiać i pałaszować smakołyki, ale naprawdę trochę byli smutni. Zobaczą się dopiero za rok. Może rodzice Wojtka i Stefka znajdą czas, żeby odwiedzić Karola w Warszawie. Może. Pogadali jeszcze trochę. Planowali, na jakie zajęcia zapisać się w nowym roku szkolnym. Postanowili też przeczytać „Podróże Guliwera” do końca.

– Wiesz Karol, może wejdziemy na twoje drzewo i popatrzymy na pożegnanie – Zaproponował Wojtek.

Wdrapali się na drzewo, z którego widzieli domy we wsi.

– O, mój tata i bracia – Zawołał Stefek.

Zapomnieli, że z tego drzewa widać całą okolicę: domy, łąki, kawałek lasu. Dobrze też było widać samochód taty Karola, znak, że musi odjeżdżać. Potem zeszli i koledzy niechętnie zaczęli się zbierać. Mocno uściśnęli sobie ręce, jak na dobrych przyjaciół przystało i ruszyli do furtki. Karol pomachał im na pożegnanie i spojrzał na zamknięty już domek. Wszystkie ważne rzeczy były ułożone w środku, a pierwsze kolorowe liście leżały na dachu. Obrócił się wkoło sprawdzając, czy nic nie zagraża domkowi. Jeszcze raz sprawdził drzwi. Zamknięte.

– To mój domek i najwspanialsze wakacje w całym moim życiu – Pomyślał zadowolony.

Rodzice czekali przy samochodzie. Majka leżała w nosidełku i śmiała się do niego radośnie. Podbiegł, otworzył drzwi samochodu i mocno uściśkał siostrę. W sumie to jej zasługa, że miał takie bajeczne wakacje.

Anna Chabiera
Wyróżnienie



Bajka o tym, jak kłopoty dobrego Jaśka odmieniły złą czarownicę

Dawno, dawno temu, w samym środku ciemnego lasu, w dębowej dziupli, mieszkała sobie czarownica. Była tak brzydka, że swoim wyglądem straszyla nie tylko dzieci, ale dorosłych, ptaki i zwierzęta. Nawet kwiaty wędły, gdy przechodziła obok nich. Jak wyglądała? Zacznijmy od głowy:

Zamiast włosów – kołtun, nos długi z kurzajką na środku. Zębów nie miała, bo ich nie myła. Głos skrzekliwy. Postać przygarbiona. Na grzbiecie – łachmany. W ręku kostur, albo miotła, na której latała. Gdzie mogła latać, skoro wszyscy się jej bali? Pewnie na Łysą Górę albo jeszcze w jakieś inne straszne miejsce. Tam gdzie spotykały się czarownice z całego świata, aby rozmawiać o czarach i złych psikusach, które udało im się zrobić. A sporo tego było. Czarownica wcale nie była lepsza. Chociaż znała czarodziejską moc ziół, umiała leczyć i odczyniać złe uroki, to nigdy tego nie robiła. Wolała raczej zakradać się w pobliże domów we wsi za lasem, plątać koniom grzywy, wypijać krowom mleko, kraść jajka albo wrywać kogutom kolorowe pióra z ogonów. Radość sprawiało jej też sprowadzanie wędrowców na manowce i dzieci w ciemny las. Bali się jej ludzie okropnie. Gdy ją widzieli, to w popłochu uciekali. Tylko, co odważniejsi chłopcy kijem pogrozili albo kamieniem rzucili, ale i to niezbyt często, bo nie wiedzieli, czy nie rzuci na nich złego uroku. Aż pewnego razu...

Mały chłopiec – sierota Jasiek – pasł gęsi swego gospodarza na skraju lasu. Dzień był gorący i długi, a chłopiec głodny i zmęczony. Gdy tylko przysiadł w cieniu paproci, to zaraz usnął. Obudził się przed wieczorem. Z przerażeniem stwierdził, że brakuje dwóch gęsi. Może porwał je lis? A może tylko zgubiły się w lesie? Chociaż ze strachu Jasiek trząś się okropnie, to postanowił odnaleźć gęsi, bo bez nich i tak nie miał, po co wracać do złego gospodarza. Strach przed laniem był większy niż obawa przed ciemnym lasem i mieszkającą tam czarownicą. Ruszył, więc

w drogę. Długo błąkał się po lesie wołając gąski, aż trafił na podmokłą polanę, gdzie rósł stary dąb. Jasek zadrżał z przerażenia, bo słyszał od kobiet we wsi, że tu mieszka czarownica. Nie było jednak rady: musiał podejść bliżej, bo przy drzewie zobaczył zaginione ptaki. Już miał je złapać, gdy z dziupli wychyliła się czarownica. Chociaż wyglądała okropnie, Jasek zdjął czapkę, pokłonił się nisko i odezwał grzecznie. Cienkim głosem opowiedział czarownicy o tym, jak długo błąkał się po lesie w poszukiwaniu ptaków i jak bardzo boi się gniewu gospodarza, gdy będzie musiał wrócić do domu bez gęsi. Opowieść chłopca nie była długa. Smutna historia dziecka sprawiła, że serce czarownicy drgnęło. Poczuli, może po raz pierwszy, że chce komuś pomóc. I... że to też może być przyjemne. Pozwoliła złapać ptaki a potem wsadziła chłopca na swoją zaczarowaną miotłę i razem z nim poleciała do wioski gdzie na chłopca czekał już rozwścieczony gospodarz. Czarownica, wzięła miotłę i wyszeptła zaklęcie. Miotła poderwała się do góry, obleciała gospodarstwo, a potem wpadła do chałupy. Po chwili z chaty wybiegł wrzeszczący gospodarz, a za nim miotła, która pogoniła go daleko w pola. A czarownica? Czarownica wzięła zdumionego Jaśka za rękę i zaprowadziła do domu. A później sama się do niego wprowadziła, żeby chłopiec już więcej się nie bał i nie był sam. I żyli razem długo i szczęśliwie... Bo wiecie dzieci: tak naprawdę, to ta czarownica wcale nie była taka zła, na jaką wyglądała.

Halina Małyska
Wyróżnienie

Spis treści:

<i>Wstęp</i>	3
<i>Wielkie zwycięstwo</i> , Jacek Kocot	5
<i>Król Rok i jego kłopoty</i> , Maria Werner	15
<i>Burza</i> , Andrzej Rytelewski	23
<i>Wyspa cudowności</i> , Halina Książek	33
<i>Domek Karola</i> , Anna Chabiera	41
<i>Bajka o tym, jak kłopoty dobrego Jaśka odmieniły złą czarownicę</i> , Halina Małycka	53



Martyna Zielińska, ilustracja "Bajka o tym, jak kłopoty dobrego Jaśka odmięły złą czarownicę", Szkoła Podstawowa nr 116 w Łodzi



Kinga Buczyńska, ilustracja "Wyspa cudowności", Szkoła Podstawowa nr 182 w Łodzi



Alicja Świderek, ilustracja "Domek Karola", Szkoła Podstawowa nr 116 w Łodzi